

# L. DEKADA Literacka

Rozmowa z Andersem Bodegårdem ■ Maciej Urbanowski o Trzebińskim ■ Proza Jerzego Marciniaka  
Starsi Panowie i Monty Python ■ Hrabal o sobie i beatnikach ■ Przegląd Metafizyki Społecznej Nr 1

Przestałem być pisarzem emigracyjnym — oświadczył Gustaw Herling-Grudziński odbierając honorowy doktorat Uniwersytetu w Poznaniu. Teraz przestał być — choć i to trzeba udowodnić — emigracyjnym krytykiem. Może się w tym momencie pojawić pewien kłopot szczególny. Dzieło Herlinga trudno jest dzielić na części, bo odłupane fragmenty wołają o siebie nawzajem; to przenikanie myśli oraz inspiracji ponad porządkiem gatunkowym sztucznie ustanowionym wydaje się być cechą każdego wybitnego pisarstwa „wielodyscyplinarnego”. Więc protest fragmentów oddzielonych od całości jest w pełni uzasadniony.

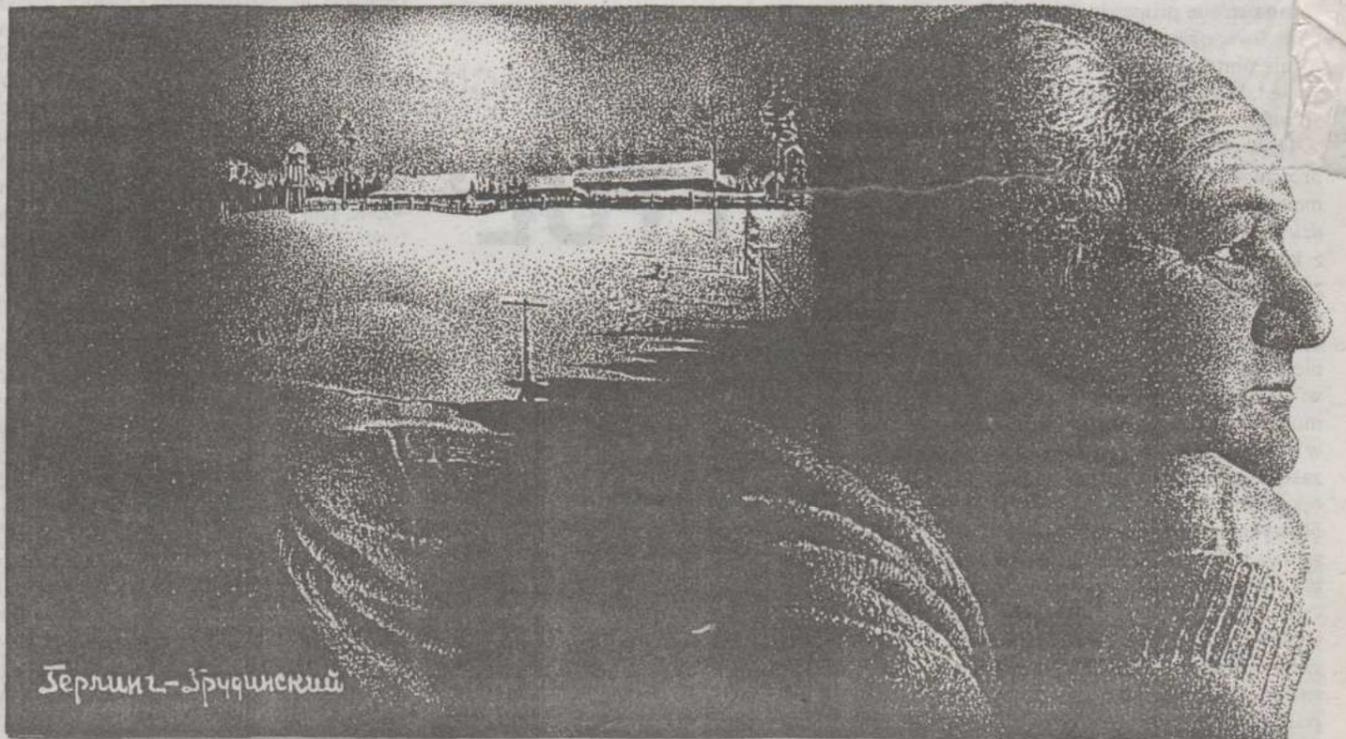
*Wyjścia z milczenia*<sup>1</sup>, o których będę mówić, prezentują nam skrupulatnie zebrane teksty krytycznoliterackie. Pytania pierwsze wobec nich układają mi się następująco: co widział ze swojej perspektywy (Maisons-Laffitte, Neapol, Włochy w ogólności) Herling-Grudziński? W jakim stopniu widział inną, niż krytycy krajowi, literaturę? Jakie były, oprócz ewidentnych, czyli politycznych, wyznaczniki tej inności?

Osobowość pisarska Herlinga-Grudzińskiego posiada pewną cechę wyróżniającą: jest nią mianowicie zainteresowanie dziwnością twórczych istnień, postrzeganie ich w perspektywie odmienności, nie zaś w perspektywie uczestnictwa w jakiejś wspólności. Dziwność może przerodzić się w metafizyczność — i tak często dzieje się w oryginalnej twórczości Herlinga. Ale krytyk nie bardzo może być taki: musi, chociażby do pewnego stopnia, respektować prawa racjonalnych porządków, uwzględniać je choć trochę. Potrzebuje do tego „twardych punktów” światopoglądowych, jeżeli nie chce zostać tylko nieszkodliwym impresjonistą krytycznym. Rzecz jasna, Herling-Grudziński posiada takie wsporniki. Zanim więc odpowiem na zadane sobie pytania, spróbuję ustalić punkty graniczne.

## I. Wierny uczeń jednej szkoły

Oczywiście, szkoły Ludwika Frydego. Przysnaje co prawda, iż szkoła ta została swoiście zmitologizowana przez rówieśników Frydego, którzy uznali w nim najwybitniejszego krytyka pokolenia. Herling, choć młodszy, wstępował do literatury, podobnie jak Fryde, u progu II wojny. Pokoleniowe podziały były jedną z krytycznych obsesji Frydego. Tak jakby podświadomie chciał osłonić siebie i własne pokolenie przed unices-twieniem.

I to bez wątpienia mu się udało.



## Światło w mroku

Marta Wyka

Herling-Grudziński nie tylko werbalnie deklaruje uczestnictwo w tej relacji mistrz-uczeń. Zaraz po wojnie, w pierwszych tekstach krytycznych pisanych w Rzymie, nawiązuje do kluczowego tematu Frydego: jest nim polska inteligencja. Krytycy w kraju czynią to samo — lub podobnie. Popycha ich ku tej problematyce w równym stopniu poczucie dziedzictwa co potrzeby dnia. Potrzeby często dwuznaczne, jak wiadomo. Zatem Herling — już fizycznie oddzielony — duchowo tkwi w podobnym nurcie. Jaką w nim zajmuje pozycję? O Gałczyńskiego po Chałasińskiego, poprzez Brezę, Iwaszkiewicza, Dygata tropi on ekspresję inteligencności (Kazimierz Wyka, kąśliwie traktowany w pismach Herlinga, nazywał to zjawisko inteligenckim roztworem...)

## II. Oportuniści i zmysł etyczny

Genealogia polskiej terażniejszości jest ściśle związana z inteligencją. Akceptując tezy i analizy znanej książki Chałasińskiego Herling-Grudziński nie może zaakceptować jej konkluzji. Dawne to dzieje i zamknięte, ale przypomnijmy je w zwięzłym zarysie.

W skrócie więc mówiąc, powracają wówczas dwa stereotypy inteligenckiego bytu: ten, którego początek bierze się z Wyspiańskiego i ten, który wykarmił

Żeromski. Można było — jeszcze wtedy — wybierać pomiędzy nimi. Herling zaś powiada tak: „Na tyle, na ile wolno sądzić z polskiej prasy krajowej, po drugiej wojnie światowej żeromszczycy przeżyją dzisiaj w Polsce swój wielki dzień. Są nareszcie u władzy, i belkot społecznikowski na lamach prawie wszystkich pism polskich w niczym nie ustępuje belkotowi państwowotwórczemu z okresu między dwoma wojnami. Byle mydleć z «Zodiaku», który na «szerokie masy ludowe» spoglądał w najlepszym razie przez pryzmat podmiejskiej knajpki doróżkarskiej, natęża się teraz w nadludzkim wysiłku sprowadzenia wszystkich zjawisk życia do «prostych kategorii socjologicznych i ekonomicznych» i w rozpaczliwie wiernym poszukiwaniu laskawej aprobaty w oczach swych marksowskich mistrzów”.

Chałasiński zaprasza „starą” polską inteligencję do odegrania nowej roli: przywódczyni chłopsko-robotniczego narodu. Mamy rok 1946. Herling sądzi, że już wtedy rozpoczynało się wielkie inteligenckie sprzeniewierzenie. W tej samej właściwie optyce — specyficznej dezercji — umieszcza krytyk Gałczyńskiego. Ten tekst (K.I.G. — poeta inteligenckich bezdroży) uznać wypada za jeden z najważniejszych w recepcji twór-

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

## ALICJA ZEMANEK

### Wędrowiec

W głębi gór  
zamarznięty  
w bryle lodowca  
z kawałkiem wiosny  
śpiewem ptaka zastygłym  
jak kropla żywicy  
Dokąd szedł  
zanim w lodzie  
przebył pięć tysięcy lat  
z górską tęczą na rzesach  
z katedrą Notre Dame  
nie przeczuwaną  
w najdalszym ze snów  
o czym myślał  
gdy milcząc  
stał nad przepaścią  
z cisową włócznią  
wymierzoną  
między oczy  
pustki

## CO NOWEGO W PRASIE

**W** PRL, poczynając od roku 1956 aż po lata osiemdziesiąte, karierę robił tzw. reportaż literacki. Jego domeną były czasopisma kulturalno-społeczne, cieszące się wówczas bardzo szerokim zasięgiem oddziaływania. Pisma te oficjalnie deklarowały, rzecz jasna, wiernopoddańczą prawomysłowość i publikowały — raczej nie przesadnie obficie — wypracowania redaktorów naczelnych lub dyżurnych gorliwców na tematy wskazywane w danym momencie przez Wydział Prasy KC. Ale o prawdziwym życiu kraju i obywateli mówili reportaże. Wykorzystując metodę *pars pro toto*, posługując się jednostkowymi przykładami, kamuflując egzotyką opisywanych środowisk, realiów, postaci — ukazywały odwrotną stronę propagandowego wizerunku szczęśliwej ojczyzny. „Wasze reportaże sugerują obraz kraju źle rządzonego” — karcili redaktorów aparatczycy z KC. I była to prawda.

Tem reportaży literackich była zwykle prowincja: małe miasta, wieś, przedmieścia metropolii, zakazane dzielnice (*Są takie dzielnice* to tytuł zbioru reportaży J. Lovella z końca lat pięćdziesiątych). Bohaterowie zaś to często ludzie krzywdzeni przez bezduszną administrację, wszechmocne „układy”, głupich urzędników, ludzi biedni, nieprzystosowani, niepokorni, „nietypowi”. Czytając o ich losach bystry czytelnik mógł zacząć wątpić, czy istotnie żyjemy w najlepszym z możliwych światów. Pewien zasłużony i autentycznie mądry weteran opozycji, powiedział w roku 1980, że publicystyka oficjalnych periodyków w PRL zrobiła więcej dla reorientacji społeczeństwa, niż wszystkie wydawnictwa podziemne.

W III RP zarówno z pism społeczno-kulturalnych, jak z reportażu literackiego niewiele zostało, choć nikt naprawdę nie potrafi powiedzieć dlaczego. Ostoją tej formy publicystycznej jest „GAZETA WYBORCZA”. Niedawno ukazał się wybór reportaży z niej. Przypominają one tamte, z czasów PRL. Forma już wprawdzie inna, bardziej nowoczesna, ale podobne środowiska, klimat, bohaterowie, podobny smutek prezentowanej rzeczywistości. I stała się rzecz osobliwa.

Tygodnik „WPROST” ma, jak wiadomo, stosunek raczej krytyczny do III RP, a sympatie, czy raczej może antypatie polityczne lokują go na pewno znacznie bardziej na lewo niż „GAZETA WYBORCZA”. Dziwi więc, że właśnie to pismo zaatakowało reportaże „WYBORCZEJ” za ich pesymizm i czarnowidztwo (Wiesław Kot: *Kraj za miastem*, nr 40). To, co Kot o nich pisze, przypomina żywcem zarzuty towarzyszy z Wydziału Prasy sprzed kilkunastu lat: *Ustawianie w szereg nawiedzonych, psychopatów i nieszczęśliwych, z sugestią, że to tzw. kawal surowego życia kraju, gdzie jeżdżą coraz lepsze samochody (...) to mimowolne przyznanie się reporterów do zawodowej kłębki (...) Reporterzy „nie czują” ludzi samodzielnych, brakuje im słownika, żeby opisać konsekwencje, solidność, samodzielność. Sukces omijają z daleka, obawiając się widocznie, że spłódzą panegiryk. Amawiają się więc, że sukces nie istnieje, a jeśli komuś się wydaje, że go osiągnął, to trzeba go wyprowadzić z błędu (...) Układa się z tego rejestr dogmatów współczesnego reportażu: interesujący bohaterowie muszą być nieszczęśliwi (...) typową reakcją na problemy życiowe jest płacz i poczucie bezradności (...) Dobrze samopoczucie jest pojeżdżane...*

„Dowalanie” reporterom prezentującym ciemne obszary rzeczywistości ma oczywiście długą tradycję. Zawsze jednak była to ulubiona czynność zadowolonej z siebie władzy oraz kół hurratriotycznych i obskurantkich. Od takich postaw „WPROST” jest najdalej. Pluralizm wypowiedzi przynosi, jak widać, zdumiewające niespodzianki.

J.L.

**O**d 1991 r. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Gdańsku wydaje dość regularnie, aczkolwiek nieregularnie trafiający do bibliotek (Biblioteka Jagiellońska posiada tylko dwa jego numery) kwartalnik „Tytuł”.

Redakcja, w której skład wchodzi Krystyna Chwin (redaktor naczelny), Paweł Huelle, Aleksander Jurewicz oraz Zbigniew Majchrowski określa jego charakter jako literacko-artystyczny, choć przyznać trzeba, że sporo miejsca zajmowały w nim rozprawy na temat historii Gdańska i okolic. Dość przytoczyć zaciekle spór gdańskich mennonitów włokący się od 2 numeru z 1991 po nr 2 z 1993 r., rozprawy o gdańskich masonach, Żydach itp. Gdańsk ma swe stałe rubryki — „Duch miejsca”, „Odwiedziny Gdańska”, „Spotkania”, „Gdańskie oracje”, w których pełnym głosem mówią wiesz-czowie tych ziem, ludzie-legendy. W nrze 2(10)93 relacjonuje się tegoroczną majową wizytę Günthera Grassa, gdańszczanina z urodzenia, wyboru i przywiązania, z okazji nadania pisarzowi tytułu *doctora honoris causa* Uniwersytetu Gdańskiego oraz Medalu

## RAZ W MIESIĄCU

# 'TYTUŁ'

im. B. Chrzanowskiego przyznawanego przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Przytacza się mowy i laudacje związane z tym wydarzeniem. O ćwierćwieczu spędzonym nad książkami Grassa mówi tłumacz jego siedmiu książek — Sławomir Błaż. G. Grass jako autor *Gdańskiej trylogii* (jak sam nazywa *Błaszany bębenek*, *Kota i mysz* oraz *Psie lata*), jako poeta, grafik i rzeźbiarz nobiletujący *Wrzeszcz*, Kaszuby i Pomorze jako *theatrum mundi*, obraz świata i jego „centrum”, jest przedziwnym „informatorem o swoim czasie i przestrzeni polsko-niemieckiego sąsiedztwa”.

„Tytuł” pielęgnuje atmosferę małych ojczyzn, *heimatu*, szczególnie interesuje się obszarami pogranicza, styku kultur, pieczołowicie tropi literaturę kresów, poszukiwania tożsamości, stwarzającą pomosty. Przypomnijmy prawie monograficzny numer „Tytułu” (2/91) poświęcony Horstowi Bienkowi (1930–1990), prozaikowi, poecie, eseście urodzonemu w Gliwicach, którym poświęcił swą słynną tetralogię, i do których „wracal” całe życie. Warto podkreślić, iż regionalizmy i wszelka „kresowość” są w piśmie rozpatrywane w znaczeniu wąskim (często poprzez historię jednej rodziny — np. Pamiętnik pewnej krawcowej), ale i transgresywny. To kulturowy obszar Gdańska i okolic, Kaszub, Pomorza, Krajów Nadbałtyckich.

## V A R I A

W dniach 7–10 października ponad 20 renomowanych oficyn wydawniczych, m.in. Wydawnictwo Literackie, PIW, PWN, Arkady, Wiedza Powszechna, PWM, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe uczestniczyło w zorganizowanych w hali Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” I Krakowskich Spotkaniach Wydawców Dobrej Książki. Nieco wcześniej w Domu Polonii otwarto wystawę „PIW wczoraj i dziś” z okazji jubileuszu 47 lat istnienia PIW-u. Jak powiedział dyrektor PIW-u, Andrzej Gruszecki: „Celem wystawy i Spotkań jest nie tylko popularyzacja dobrej książki, ale również szukanie odpowiedzi, w jaki sposób, nie rezygnując z ambicji edytorskich, wydawnictwa mogą się oprzeć narastającej komercjalizacji rynku”. Na kiermaszu miłośnicy literatury mogli zakupić m.in. ostatnią powieść Umberto Eco *Wahadło Foucaulta*, *Inszallaha* Oriany Fallaci, *Literaturę polską* Jana Tomkowskiego, *Upadek Rzymu* Josepha Vogta, a także *Listy do Mileny* Franza Kafki i *Poezje* — w serii dwujęzycznej WL — Rainera Marii Rilkego.

(kl)

Jedynie myślenie mityczne najbliższe jest uniwersalnemu; pokojowo jednoczy kultury, dopomaga przekraczać progi (to tytuł otwierającego pismo dzieła), co sugerują zamieszczone w części zatytułowanej „Mitologie” fragmenty prozy pisarzy niemieckiego, szwedzkiego, polskiego i meksykańskiego pochodzenia: U. Habermann, T. Lindgren, A. Stasiuka, J.J. Arreoli. Kluczem do niej staje się nazwisko jednego z najznamienitszych obok J. Rulfo i C. Fuentesy pisarza meksykańskiego, odnowiciela prozy latynoamerykańskiej, jednego z twórców realizmu magicznego — Juana José Arreoli. Ten sposób kreowania rzeczywistości polega na nieustannym jej wymyślaniu, odkrywaniu jej ludycznej, alegorycznej, legendarnej, czerpiącej z tubylczej symboliki albo po prostu rodzinnej mitologii (por. zamieszczone w „Tytuł” magiczne definicje, w jakie Arreola zaklina świat zwierząt).

„Tytuł” nie omieszczał „przewietrzyć” narodowej mitologii emigracji. „Polacy są dobrze wyszkolonymi emigrantami” — pisze Karl Dedecius, nakreślając krótką historię polskiej emigracji, która uwalniając nas z „ciasnej formy polskiej i polskich przeklętych problemów” może stać się „sztuką dystansu”, a tym samym szansą dla naszej literatury, ale i jej zagrożeniem. I dodaje: „Pisarz, gdziekolwiek by był i tworzył, jest budowniczym mostów, takich czy innych”, co jest szczególnie ważne, tym bardziej iż młoda emigracja podtrzymująca kontakt z krajem wyraża się o nim jednoznacznie: „Ogólne wrażenie zerwania komunikacji, cywilizacja trochę wyspiarska” (z wywiadu z Maciejem Niemcem).

O statusie emigranta z konieczności, wyboru, „wiecznego uciekiniera wewnętrznego” oraz o terapeutycznym dystansie dającym m.in. tak bardzo potrzebne uniwersalizujące spojrzenie, o relacji człowiek — historia, a nie Polak — historia — pisze „młody stażem emigrant” Konrad W. Tatarowski. Właściwie cykl pisma zatytułowany „W Ameryce, w Paryżu, w Niemczech” poświęcony jest emigracji, jej dylematom, zadaniom (czy istnieją takowe?). Również dział recenzji dowodzi słuchu absolutnego na wszelkie szmery w narodowej rekwizytorni: Mickiewicza jedzą kresowe robaki, podczas gdy Wallenrod coraz to zmarłych wstaje.

Owo wyraźne nastawienie pisma na obowiązek pamięci, wspomnienia, etykę i ekonomię rozrachunku pozwala nie zapomnieć o jego proweniencji. „Tytuł” wywodzi się z konspiracyjnego niegdyś „Podpunktu”, który nie ukrywa, iż jego literacki, świadomościowy rodowód bliski jest niepokojom dochodzącym do głosu w obrachunkowym eseju Klausa Manna: „Dotarliśmy do punktu, w którym tylko dramatyczne i najbardziej demonstracyjne gesty” mogą poruszać. „W cóż miały wierzyć europejski intelektualista dnia dzisiejszego?” (*Choroba ducha europejskiego*, 1949).

Agnieszka Jodlińska

W dniach 30.09–3.10 br. trwał „IV Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu”. Imprezie poetyckiej towarzyszyły koncerty, recitale muzyki dawnej, wystawy. W sobotę, 2 października, nastąpiło wręczenie Nagrody Literackiej im. Marka Jodłowskiego znanej poetce opolskiej Irenie Wyczółkowskiej, po czym w salach zamku rozpoczęła się sesja krytycznoliteracka, w której prezentowali swe referaty Marian Kisiel („U szczytu kłębki?... uwagi o poezji polskiej ostatniego piętnastolecia”) i Jan Tomkowski („Biblioteka, Przedpokój, Salony, czyli o literaturze polskiej po 1989 roku”). Dopisali poeci z całego kraju — wszyscy czytali swe utwory na wieczornych prezentacjach, niektórzy uczestniczyli w Turnieju Jednego Wiersza o Laur IV Najazdu. Organizatorzy zadbali nie tylko o dobry nastrój i uroczystą oprawę imprezy, udało im się w tempie istic ekspresowym opublikować antologię zawierającą wiersze zaproszonych gości. Książka ta pt. *Ogród różany* zawiera interesujące utwory poetów z Zaolzia, Opola, Katowic, Krakowa, Gdańska i paru innych ośrodków. Wieczorny Bal Poetów a potem Poetycki Seans Spirytystyczny spowodowały, że zdecydowana większość uczestników pod wodzą czołowego polskiego poety-surrealisty, Janusza Stycznia, spędziła czas na rozmowach do białego świtu. I naprawdę trudno było się rozstać.

(kl)

## ROZMOWA

**Józef Baran:** Przed trzema laty rozmawialiśmy o Twoim pobycie w Polsce w latach osiemdziesiątych, o tłumaczeniu książek Tischnera, Michnika, Wałęsy, Gombrowicza, Szymborskiej, Zagajewskiego... Co u Ciebie jako tłumacza zaszło w przeciągu tych lat? Wiem, że teraz pracujesz nad *Imperium* Kapuścińskiego i nad ostatnim tomem *Dzienników* Gombrowicza. Dodajmy, że dwa opublikowane już tomy spotkały się z silnym rezonansem w środowisku intelektualnym Szwecji.

**Anders Bodegård:** W ciągu tych lat zajmowałem się tłumaczeniami z literatury polskiej i francuskiej. Jeśli chodzi o polską, głównie pracowałem — w dalszym ciągu — nad Gombrowiczem. Półtora roku temu wyszedł drugi tom *Dzienników* a teraz, na jesieni, ukaże się trzeci.

W sumie *Dzienniki* pochłonął mi 5 lat. Równocześnie robiłem inne rzeczy np. nowy przekład *Ślubu* Gombrowicza dla Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Było to dla mnie tym trudniejsze, że nie jestem człowiekiem teatru. Wcześniejszego przekładu *Ślubu* dokonano z niemieckiego. Ma już 25 lat, dlatego zamówiono u mnie nowy. Starałem się stworzyć inny niż tamten, który jest może dobry, lecz oddalony od oryginału. W rezultacie powstał — jak mi się wydaje — bardziej kameralny i bardziej zagęszczony *Ślub*. Zobaczymy, co z tego wyjdzie, bo dopiero za pół roku ma być wystawiony przez wybitnego młodego reżysera przy współpracy świetnych aktorów... Wracając zaś do trzeciego tomu *Dzienników* — jest dla mnie smutny, w pewnym sensie tragiczny. Przemawia przez autora starość, pojawia się w tle śmierć; stąd praca nad książką była męcząca. Gombrowicz jakby mniej „robi” tu w języku, mniej bawi i zaskakuje, a ja wypracowałem już po szwedzku własny styl gombrowiczowski. Nabyłem wprawę. Jest to jakby mój wynalazek: trochę bezużyteczny przy pracy nad tym tomem...

**J. B.:** Kogo tłumaczyłeś jeszcze prócz Gombrowicza?

**A. B.:** Nowy zbiór wierszy Zagajewskiego. Nazywa się *Elektryczna elegia*. Przełożyłem również jego prozę: *Dwa miasta*. W moim tłumaczeniu ukazał się też zbiorek wierszy Tomasza Jastruna. W dalszym ciągu zajmuję się poezją Szymborskiej, tłumacząc ją powoli, po kolei. Przełożyłem Lipską, ale jak dotąd nie znalazłem wydawcy, gdyż ten, który miał ją wydać — spłajtował...

**J. B.:** To ważne: mieć wcześniej „nagranego” wydawcę...

**A. B.:** Tak, najważniejsze! Miałem szalone trudności nawet z Gombrowiczem, mimo że znany i uznany. Jednak jest to pisarz elitarny i mało go sprzedano. Owszem, ukazywały się świetne recenzje, *Dzienniki* czytali pisarze i znalazły się one na liście najlepszych książek roku gdzieś na samym początku. Cóż z tego, gdy uważane są za literaturę dla literatów, specjalistów, nie dla szerszej publiczności.

**J. B.:** Z ciekawości zapytam, ile sprzedano?

**A. B.:** Chyba z tysiąc egzemplarzy.

**J. B.:** To odpowiednik około 5 tysięcy w Polsce.

**A. B.:** Tak, ale jest to argument dla wydawcy, żeby nie kontynuował wydawania. A ja chciałbym uzupełnić wszystkie luki związane z Gombrowiczem. Pozostaje mi jeszcze przekład trzech książek: *Bakakaj*, *Trans-Atlantyk* i *Kosmos*. Najpierw przetłumaczę *Bakakaj*, mam już kilka gotowych utworów.

**J. B.:** A nie zastanawiałeś się nad *Opętanymi*? Jest to z jednej strony literatura o wątku kryminalno-sensacyjnym, a z drugiej — znaleźć tam można w „zamaskowanej postaci” całego Gombrowicza...

**A. B.:** Nie wierzę w nią jako bestseller. Nazwisko „Gombrowicz” — kojarzy się z literaturą elitarną. Choć może i tę dziwną, ciekawą książkę kiedyś przełożę, z tym że powtarzam: w ogóle nie wiem, czy znajdzie wydawcę dla dalszych dzieł.

**J. B.:** A „Bonniery”, główne szwedzkie wydawnictwo, gdzie dotychczas drukowałeś?

**A. B.:** Wątpię, żeby chciał opublikować nowe przekłady.

## 'DEKADY'

**J. B.: Mówmy o Imperium Kapuścińskiego, to temat bardziej optymistyczny.**

**A. B.:** Otóż najpierw przetłumaczyłem piękną *Wojnę futbolową* Kapuścińskiego z lat 70. Ale ze względu na rozgłos, jaki zdobyło *Imperium*, *Wojna* sobie poczeka. Tak zdecydował wydawca.

Na *Imperium* rzuciłem się bodaj w lutym po otrzymaniu od autora maszynopisu. Obecnie kończę książkę. Drukowane były już 3 jej fragmenty w tutejszej prasie, m.in. w „Dagens Nyheter”. Ten właśnie fragment był bardzo czytany i komentowany jako świetny reportaż. Nazywa się *Skacząc przez kałużę* i dotyczy Jakucka na Syberii. Bohaterką jest dziewczynka Tania, którą autor spotyka i chodzi z nim po tym strasznym mieście tonącym w błocie. Dziewczynka opowiada o mrozie, jaki tutaj był... Literacko znakomity tekst!

**J. B.: Jak trafiłeś na Kapuścińskiego?**

**A. B.:** Kiedyś czytałem przekład na szwedzki bodaj z angielskiego. Kapuściński nie był z przekładu zadowolony, gdyż jak każdy prawdziwy pisarz dba o własny styl, który po drodze — z polskiego na angielski a potem na szwedzki — gdzieś się zagubił. W sprawie ostatniej książki Kapuścińskiego sam wydawca do mnie zadzwonił i zamówił przekład, co się rzadko zdarza, jeśli chodzi o literaturę polską. Zdarzyło mi się to właściwie po raz drugi.

**J. B.: A pierwszy...?**

**A. B.:** Brombergowie zamówili u mnie przekład *Onych* Torzańskich.

**J. B.: Literatura stricte polityczna. Przeskoczmy na politykę. W Szwecji toczą się aktualnie publiczne debaty związane z kryzysem. Ekonomiści ogłaszają alarm. Co prawda optymiści twierdzą, że wystarczą drobne korekty i wszystko będzie dobrze. Jednak pesymiści uważają, że kryzys jest bardzo głęboki i rozległy. Mówią, że konieczne są istotne zmiany nie tylko w ekonomii, ale i w mentalności i dociśnięcie pasa włącznie z obniżeniem pensji do połowy. Co o tym sądzisz jako obywatel tego kraju? Jak kryzys odbija się na sytuacji kultury?**

**A. B.:** Nie wiem, czy interesuję się dość polityką wewnętrzną, żeby o tym mówić. Jako indywidualny twórca nie posiadam przecież sklepu czy zakładu i miewam słaby kontakt z codzienną rzeczywistością szwedzką innych ludzi. Niemniej, zauważam, że kryzys istnieje. Oczywiście — jak widzisz — jest to określenie dość względne w porównaniu z kryzysem w innych krajach, np. w Polsce. Dobrobyt — mimo wszystko niesamowity. Gdy chodzisz wieczorem po Sztokholmie i patrzysz na młodzież szwedzką; co oni tutaj robią i ile pieniędzy wydają, to trudno uwierzyć w jakikolwiek kryzys.

Niemniej mocno się niepokoję o przyszłość Szwecji. Mam na uwadze tylko materialne sprawy, bo poziom życia jest na tyle wysoki, że do dna jest jeszcze kawałek... Gorzej — moim zdaniem — z tożsamością narodową czy społeczną, która jest bardzo zachwiana. Ale to dzieje się od dawna, przynajmniej od śmierci Olafa Palmego i kryzysu socjaldemokracji, czyli całej tej formacji, która ukształtowała nowoczesne państwo szwedzkie, mentalność społeczeństwa, a nawet mentalność innych partii, opozycyjnych wobec socjaldemokracji (w końcu różnice między nimi nie były tak duże). Niepokoję się, ponieważ jesteśmy słabo przygotowani na konflikty i różne kryzysy.

Już od dwu pokoleń, przynajmniej, Szwedzi znają tylko piękny futurystyczny raj. Z dzieciństwa i młodości pamiętam, że była u nas zawsze ogromna wiara w przyszłość, snuliśmy przepiękne wizje, kreśliśmy śmiało plany. Tymczasem teraz, nawet przed tą magiczną datą — dwutysiąclecie — nie mówi się w ogóle o przyszłości, o niczym się już nie marzy. Intelktualiści nie bawią się w prognozy, widzą ich niepewność i konsternację. To, co wydawało się przedtem niesłychanie stabilne, czyli cały system szwedzki, utraciło stabilność. Oczywiście łączy się to z rozpadem światem wokół nas: komunizmu, Jugosławii, Europy... I też z tym punktem zwrotnym dotyczącym współpracy

europiejskiej i transformacji EWG w federację. To się odwróciło o 180 stopni. W żadnym kraju nie ma entuzjazmu wobec EWG i przyszłości zjednoczonej Europy. W każdym razie w Szwecji wiara w przyszłość jest wątłutka.

**J. B.: Czy i tu zauważa się niechęć do cudzoziemców?**

**A. B.:** Dwa i pół roku temu spalono pierwszy barak dla uchodźców w Szwecji. Można rzec, iż był to pierwszy przejaw agresji, który należało potraktować poważnie. Myślałem wtedy: dlaczego jest tak słaba reakcja na ów akt wandalizmu? Mówiło się wówczas: to pijana młodzież, to nie ma znaczenia. Sądzę jednak, że istnieje granica, której nie powinno się przekraczać. Można mieć różne poglądy, ale w momencie, gdy podpalasz cudzy dom, jesteś przestępcą i gwałcicielem. Niestety, reakcja nie tylko w Szwecji, lecz może jeszcze w większym stopniu w Niemczech, była słaba. Trwa brutalizacja życia, której szczytem jest choćby Jugosławia.

Czytałem niedawno esej Enzensbergera,

interesują się w ogóle kulturą — pozamykano biblioteki i inne placówki, przeciwko czemu, oczywiście, część mieszkańców protestuje. Można powiedzieć, że najgorzej to jeszcze u nas nie wygląda, ale zagrożenie cały czas wisi. Na poziomie państwowym natomiast, powiedziałbym, że jest lepiej niż poprzednio. Pojawiły się nawet większe dotacje. Nie wiem, czy słyszałeś o ośrodku na Gotlandii...

**J. B.: Dla pisarzy krajów nadbałtyckich?**

**A. B.:** Tak, zdumiewające, że udało nam się przy pomocy państwa szwedzkiego stworzyć nową instytucję. Skromną, ale jednak znalazły się miliony, żeby ją założyć w przeciągu 9 miesięcy.

**J. B.: A jeśli chodzi o Twoją osobistą sytuację...**

**A. B.:** Jest bardzo dobra. Dostałem stypendium, które mam prawo pobierać do czasu przejścia na emeryturę, a więc mam 15 spokojnych lat przed sobą. Nie jest to duże stypendium, niemniej stanowi jakieś zabezpieczenie materialne. Więc nie narzekam, ale inni nie mają tak dobrze jak ja.



## Więzień z wyboru

Józef Baran rozmawia z Andersem Bodegårdem

w którym pisze, że rozpowszechnia się obecnie na świecie gwałt „bezinteresowny”, gwałt bez fałszywego nawet uzasadnienia. Enzensberger wysnuwa z tego bardzo przygnębiające wnioski. Porównując dzisiejszą agresję z okrucieństwem hitlerowskim, stwierdza, iż tam była przynajmniej jakaś ideologia, a tu nawet tego nie ma. Teza Enzensbergera: trzeba zacząć z tym walkę już u siebie w domu, a nie mówić, że to jest gdzieś indziej. W zupełności się z nim zgadzam...

**J. B.: Sądzisz, że są to symptomy związane z kryzysem ekonomicznym i ze wzrastającą liczbą bezrobotnych?**

**A. B.:** Enzensberger podkreśla, że nie o to idzie. Mówi o tym jako o ślepej agresji, którą trudno zracjonalizować w ten sposób, że gdy zniknie bezrobocie — zniknie również agresja. Sprawcami nie są bowiem w jakiejś szczególnej mierze bezrobotni...

**J. B.: Wkraczamy tu jednak na cudze podwórko. Proponuję powrócić do ostatniego członu mojego pytania: jak kryzys odbija się na kulturze?**

**A. B.:** Szwecja stała się w większym stopniu krajem zdecentralizowanym. Dotacje na kulturę mają więc wymiar raczej lokalny, gminny niż centralny. To znaczy, sama komuna, gmina o tym decyduje. W tych gminach, gdzie nie

**J. B.: Mówmy wobec tego o twojej kuchni translatorskiej. Ile w tej pracy potu, ile polotu, ile wreszcie osobistej radości? Np. na ile utożsamiasz się z autorem tłumaczonym i odczuwasz, że to, co tłumaczysz jest twoim dziełem?**

**A. B.:** Miałem wielkie szczęście, że mogłem wybierać lubianych przez siebie, czy cenionych autorów. Czy utożsamiam się z nimi? To za wiele powiedziane, ale chętnie dałem się zamknąć w stworzonych przez nich światach. To niesłychanie istotne, jeśli zważyć że praca translatorska jest straszną męką, polegającą na spędzeniu trzech czy czterech miesięcy z jednym tekstem i jednym obcym facetem. Metaforycznie można to określić, że miałem możliwość wyboru więzienia... Lepiej jest z pozycją. Tłumaczę przeważnie wiersze wybrane. Czyli nie tłumaczę tych, których nie lubię, czy nie potrafię przełożyć. W porównaniu z prozą — tłumaczenie wierszy wyróżnia się lekkością; wierszami można się bawić, odkładać je na potem, podczas gdy gruba książka wymaga określonego temperamentu, cierpliwości, czego mnie brakuje, pracuję chaotycznie...

**J. B.: Nie masz metody?**

**A. B.:** Nie, choć uczę różnych metod. Jakkolwiek odszedłem od uniwersyteckiej dydaktyki, prowadzę w tym roku kurs tłumaczy z francuskiego na szwedzki i sam się chyba

najwięcej na tym kursie nauczyłem. Pracowaliśmy nad krótkimi tekstami, nie tylko literackimi, które wymagały wyjątkowej celności sformułowań. Zajęcie niezwykle pożyteczne i pasjonujące... W przyszłości chciałbym zrobić więcej właśnie na rzecz współpracy z innymi tłumaczami. Dużo sobie obiecuję po ośrodku na Gotlandii, gdzie będzie można zamieszkać na tydzień, dwa z ludźmi, z którymi się pracuje; z pisarzem, z tłumaczem...

**J. B.: W tym domu zmieści się niewiele osób. Prawda?**

**A. B.:** Około dziesięciu, czyli w sam raz. To są dwa domy: jeden mieszkalny i drugi do pracy. Tworząc ośrodek mieliśmy na uwadze wychowanie młodych translatorów. Z tym zawsze bywały problemy. Wydawcy narzekają na ich brak, a z drugiej strony — nic nie robią, żeby poprawić sytuację. W przeszłości miałem parę bardzo owocnych doświadczeń współpracy z kolegami tłumaczami. Z Larsem Klebergiem przy przekładaniu Szyborskiej i Zagajewskiego; także z moim bardzo dobrym

kolegą Janem Stolpe przy książce Wałęsy *Droga nadziei*. Stolpe zwykle czyta moje przekłady z Gombrowicza przed oddaniem do redakcji. Wiersze pokazuję wcześniej Polakowi, Leonowi Neugerowi i szwedzkim znajomym. Co prawda każdy tłumacz jest samotnikiem, ale chętnie skorzysta z porad, prywatnych konsultacji czy bardzo swobodnych, ale konkretnych seminariów.

**J. B.: W Instytucie Kultury Polskiej w Sztokholmie występowała przede mną Wisława Szymborska. Przebąkuje się, że interesowano się nią jako kandydatką do nagrody Nobla...?**

**A. B.:** Szymborska była dwukrotnie czy trzykrotnie tu w Szwecji. Jeśli chodzi o jej szansę na Nobla — nic nie wiem. Członkowie Akademii są gorsi od KGB. Poza tym nawet nie jestem pewien, czy ona chciałaby otrzymać tę nagrodę. Nobel nie zawsze był szczęśliwy dla Noblistów. Są tacy, którzy przestali pisać, bo całe życie później spędzają na kongresach, uniwersytetach, gdzie otrzymują doktoraty honoris causa i muszą bezustannie podróżować po świecie, wygłaszać przemówienia... O ile znam Wisławę, nie przypadłby jej do gustu taki tryb życia. Rzecz jasna, uważam, że

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

U góry: Od lewej Józef Baran i Anders Bodegård, 1991. Fot. Ludwik Kostuś.

zasługuje na Nobla, choć jej dorobek jest być może ilościowo za mały jak na wymagania członków Akademii... Nie wiem... Wiadomo tylko, że w tym momencie (koniec czerwca — przyp. J.B.) Akademia ma 5 kandydatów. W marcu jest ich około 80, zanim zostaną zredukowani do 5...

**J. B.:** Teraz akademicy wyjeżdżają na zieloną trawkę z książkami kandydatów.

**A. B.:** Już wyjechali i czytają...

**J. B.:** Teraz pod koniec XX w. najwybitniejsze zjawiska literackie nie budzą już takich wielkich emocji. Obraz zabija literaturę. Jak wygląda ta sprawa w Szwecji? Obserwuję ze zdziwieniem w metrze czy w autobusach, że sztokholmczyści dość często jadą do pracy i wracają z pracy z książką w ręku.

**A. B.:** Od dwudziestu, czy trzydziestu lat mówię si, że telewizja zabija literaturę i wszelkie sztuki, ale tak się nie dzieje. Myślę, że w Szwecji czyta się teraz przynajmniej tyle samo co dawniej. Ci, którzy najczęściej czytają, to: starsza pani, młodsza pani, potem starszy pan, wreszcie — najmłodszy panowie. Również jeśli chodzi o przyływ nowych talentów, dzieją się tutaj ciekawe rzeczy... Jest nowa, kontrowersyjna i czytana proza pokolenia lat 80. Organizuje się dużo imprez literackich, na pewno więcej niż 20 lat temu. Są festiwale poezji w różnych miastach. W zeszłym roku byłem na takim festiwalu w Malmö z Adamem Zagajewskim, w następnym chciałbym jechać z Wisławą Szymborską, jeśli ją oczywiście do tego namówię. To są ogromne imprezy... Naprawdę nie widzę, żeby literatura umierała...

Mam duże pretensje do telewizji. Nie ma w niej ani słowa o literaturze. To głupie i prymitywne uważać, że nie można zrobić w telewizji ciekawych, inteligentnych, a także zabawnych programów literackich. W tej chwili nie emituje się w szwedzkiej telewizji ani jednego programu czysto literackiego. Pod tym względem teatr — już nie mówiąc o filmach — jest wyraźnie uprzywilejowany. Teatry pokazują się, bo tak się przyjęło...

Świetnie jest natomiast z literaturą w radiu. Audycje literackie są codziennie i prowadzone są na znakomitym poziomie. Czasem i ja robię coś dla radia. Ostatnio zrobiliśmy audycję o Camusie, a także kolejny program o Gombrowiczu... We wcześniej była audycja o Szymborskiej.

Również prasa w Szwecji funkcjonuje — jeśli o literaturę idzie — całkiem nieźle. Mamy tutaj to, czego wy nie macie tzn. codzienną krytykę. Jeżeli czyta się „Dagens Nyheter”, to w zasadzie ma się dobrą orientację w tym, co wychodzi. Istnienie takiego szerokiego forum sprawia, że książki nie znikają bez śladu, są zauważane i dyskutowane.

**J. B.:** Słowem, dziś, przy tak pięknej pogodzie, siedząc ze mną nad rzeczką, pod rozłożystym szwedzkim dębem — widzisz sens swojej pracy?

**A. B.:** Tak, dziś jestem optymistą, ale to tylko może chwilowy dobry nastrój...

P.S. Z pobytom Andersa Bodegård w Krakowie w latach stanu wojennego wiąże się pewna zabawna historyjka. Otóż jak wiadomo, Szwedzi śpiewają chętnie w chórach, co jest ponoć wyrazem ich ducha zbiorowego. Tłumacz również w młodości śpiewał w chórach, potem przerwał na jakiś czas śpiewanie; powrócił do swojego hobby dopiero w Polsce w stanie wojennym na początku 82 roku, gdy odczuwał dotkliwie — jako cudzoziemiec — brak dopływu bieżącej informacji i samotność.

Dobrym wyjściem z sytuacji było zapisanie się Andersa do Akademickiego Chóru „Organum”, który funkcjonował legalnie i dawał możliwości różnorodnych kontaktów. Śpiewali w nim katolicy: świeccy i zakonnicy. Jedynym cudzoziemcem (i do tego protestantem) był właśnie Bodegård, o czym niektórzy członkowie zespołu dowiedzieli się dopiero... po jego wyjeździe. A przecież śpiewał w chórze prawie dwa lata, jeździł z nim po Polsce, poznał prawie wszystkie kościoły krakowskie, a przede wszystkim repertuar pieśni narodowych z XVI i XVII w. Można mówić o swoistym paradoksie: Anders zaczął znowu śpiewać „dzięki” stanowi wojennemu, gdyż epizod z katolickim chórem miał swój ciąg dalszy w Szwecji i to — jak lubi on podkreślać z dumą — w głównym chórze sztokholmskim, gdzie terminował przez parę lat po powrocie do kraju.

O ile więc zamiar zapisania się do katolickiego „Organum” wynikał z pobudek zgola nie-muzycznych, o tyle finał nie miał już nic wspólnego z polityką...

**J. B.**

## DEBIUT

**Stefan  
Andrzej  
FLOREK**

### ZAGŁADA MAŁEGO MIASTECZKA (I)

na fotografii  
małego miasteczka  
łuszczą się chmury  
jak wiosenne węże

gdy zachód lampek  
śmieje się  
przez szyby  
dziewczeta siedząc  
przed suknie z wełny

bywa też prorok  
co pod brwiami framug  
długą swą brodę  
przeciąga jak tęczę  
i jedząc w barze  
stos klusek leniwych  
nie chce rzec słowa  
bo nie wie  
co będzie

### OFIARA

zabijmy baranka  
za rogi z nim do metalowej rzeźni  
nie dajmy mu kolędy

powieśmy go na haku w izolowanej  
sali

tutaj go nie znajdą

### KOLACJA

pomiędzy nami  
jest odwłok kolacji  
trzy herbaty  
pokazują języki łyżeczek  
na ścianie  
pięć nie wartych nic obrazów  
są jeszcze lustra  
o odbiciach bardziej beznadziejnych

### ANATOMISCHE VORLESUNG VON DOKTOR JOAN DEIJMAN

czuć krochmal  
kołnierzyk doktora  
uginą się nad stołem  
palec na proscenium włosów  
nieżywe bielmo ciała  
zatyka lniana serweta  
powieka mówi wilgotnie  
odszedł spode mnie człowiek  
miseczka jest z porcelany  
na nieprzeżyte organy  
ogromna sala muzeum  
doktor mruczy pod nosem  
wszedł właśnie w klatkę pacjenta  
nacina mapę krwiobieg  
ma śliskie oko gołębia

Autor ma lat 19. Studiuje filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

I. Pięćdziesiąt lat temu, 15 listopada 1943 roku w ulicznej egzekucji rozstrzelano Andrzeja Trzebińskiego. Z tego, co ocalało z literackiego dorobku młodego redaktora „Sztuki i Narodu” najlepiej zapamiętano frazę z „Wymarszu Uderzenia”. „Imperium, gdy powstanie, to tylko z naszej krwi” przypominał żołnierzom Konfederacji Narodu poeta. Ostateczną stawką boju z faszystami i komunistami była nie tylko wolność Polski, ale także wolność słowiańszczyzny, wolność przyszłego imperium Słowian.

Słowa o imperium często cytowano po 1945 roku, najczęściej ze zdumieniem, ironią, czy — niekiedy — nieskrywanym oburzeniem. Myśleć o słowiańskim imperium w chwili upokarzającej klęski? Jakaż bzdura, ślepoty i szaleństwa! Takie imperialne sny o potęgę tłumaczyć mogła tylko młodzieńcza fanfaronada, niedojrzałość lub — co na jedno wychodzi — cyniczne manipulacje ideologów skrajnej prawicy w rodzaju Bolesława Piaseckiego. Zresztą — mocarstwowe mrzonki polskiej inteligencji znalazły w Trzebińskim proroka wielce dwuznacznego.

wencji czynić dobro. Mówić o imperium w porządku ludzkiego życia, to projektować istnienie na wskroś etyczne, odpowiedzialne, „obiektywne, mocne, bezwzględne”. W ostateczności celem imperium jest opanowanie całości świata, nadanie mu własnej formy, tak by móc poczuć się jego odpowiedzialnym twórcą.

Z perspektywy widza walka budowniczego imperium jest zwykłą błazenadą, kabotyństwem, patetycznym frazesem, którym maskuje się banalność codziennych zdrad i porażek. Z punktu widzenia Trzebińskiego jest jednak w takiej walce bolesny dramat. Jest ona teatrem, ale takim, w którym scena jest pokryta, jak pisał poeta, „gwoździ i rozbitym szkłem”. Każdy krok jest tu okupowany cierpieniem, które pozostawia po sobie najczęściej — zaledwie — krwawy ślad...

III. Polska inteligencja połowy stulecia w sposób niezwykle dramatyczny doświadczyła swej „bezdziejowości”, pozorności kulturalnego terytorium, które zdołała opanować na przestrzeni ostatnich stuleci. Szczególnie inteligent

# Imperium



Ile było w jego imperialnych apelach prawdziwej siły, a ile zwykłego nadrabiania miną? Wódz imperium, który błąka się po okupacyjnej Warszawie w podartym ubraniu, dziurawych butach — ileż ironii w takim obrazie!

II. Imperium to pewien styl życia. Gest imperialny rodzi się najpierw z niezgody na wszelką podrzędność, marginalność czy przypadkowość. Budowniczy imperium ma ambicję stanowienia o własnej rzeczywistości. Alternatywą imperium jest bowiem marionetkowe księstwo Himalaj, egzystujące gdzieś na peryferiach świata, słabe, nie zauważane, lekceważone przez sąsiadów, na wpół realne.

Inaczej imperium. Jest ono centralnym punktem na mapach ludzkiego świata. O jego realności, jego wielkości świadczą dowodnie wyraziste granice. Uświadamiają one budowniczymu imperium nie tylko wielkość zdobycy, ale — przede wszystkim — wskazują na obszary jeszcze nie podporządkowane, pograżone w bałaganie i chaosie. Walcząc o imperialny ład serca traktujemy więc granicę jako wyzwanie. Jak napisze Trzebiński „Rozsadź krwią swoje granice zbyt male”.

Budowniczy imperium nie zgadza się na istnienie „osłabione”, „letnie”, „luźne”, które z jego perspektywy jest — po prostu — nieistnieniem. W egzystencji „letniej”, w jej aprobacie dla własnej słabości i małości jest coś szatańskiego. Tolerować własny grzech to nie być w pełni, to nie być rzeczywistym — to poddawać się złu. Istnieć — pisał Trzebiński — to nieustannie poszerzać granice swojej rzeczywistości, doprowadzać ją do stanu kwitnięcia i w konse-

polki, wrzucony w chaos II wojny światowej, buntował się przeciw „życiu na niby”, przeciw niereczywistości, nieautentyczności kultury polskiej i poszukiwał terytoriów zdawałoby się jeszcze nie zdobytych, prawdziwych, realnych.

Już przed rokiem 1939 myślano o słowiańszczyźnie jako terenie imperialnej ekspansji. Inteligencja związana z nacjonalizmem chciała się w ten sposób przeciwstawić mocarstwowemu apetytom III Rzeszy i ZSRR. Narzędziem podboju miała być polska kultura, autentyczna, wielka, oryginalna, bohaterka. Tym projektem z drwiną przypatrywali się sympatycy komunizmu. Nie bez racji — nierealności nacjonalistycznych snów o potęgę mogli przeciwstawić aż nazbyt oczywistą realność sowieckiego imperium, którego częścią mieli się stać w niedalekiej przyszłości.

Byli też odmienicy, którzy na własną rękę rozwiązywali imperialne dylematy polskiej kultury. Ich podboje dokonywały się w oddali, w mrokach argetyńskiego Retiro lub na ruinach okupowanej Francji. O ile autentyczności imperium Trzebińskiego miał strzec „żołnierz”, „Polak”, „człowiek dorosły”, to tutaj spotykaliśmy „cywila”, „dezertera”, „Kosmopolaka”, „człowieka dorosłego”.

IV. Czym więc była ta chwila sprzed pięćdziesięciu lat, gdy imperium zakreślało swe ostateczne granice? Granice znaczone krwią, cierpieniem, ceglami ściany straceń, gipsem zakneblowanych ust... Imperialną klęską czy zwycięstwem?

**Maciej Urbanowski**

U góry: Raoul Dufy, drzeworyt.

cy *Balu u Salomona*; a także wierszy o tatusiu, o bezrobotnej inteligencji, również *Pieśni o szalonej ulicy*, bo ich rola była znaczna w wytyczeniu owych bezdroży. Mamy wciąż rok 1946 i Gałczyński nie napisał jeszcze większości *Zielonych Gęsi*, *Niobe*, czy słów do piosenki *Ukochany kraj*...

A jednak... Herling wskazuje na te miazmaty, trujące i słodkie zarazem, jego liryki, które fascynowały młodzież przedwojenną. Gałczyński nie jest — jak chciał tego Miłosz — poetą dworskim, błaznem mecenasa. Jest natomiast — błaznem w stylu Chaplina, odkrywającym nonsens rzeczywistości i upiorny, polski prowincjonalizm, błaznem przejmującym smutnym. Bywa też — fałszywym prorokiem... Oto bardzo ważna konkluzja: „*Jego wielbiciel i terminatorzy doszli szybko do wniosku, że w tym świecie nędzy, nudy, blagi i bezsensu mają pełne prawo przechadzać się z podniesionym czołem na marginesie rzeczywistości, w roli «gapiów życia polskiego», w roli nie zauważonych jeszcze kandydatów na wodzów «przełomu narodowego». Poetycka nostalgia za światem, który byłby nieco lepszy od istniejącego, przemieniła się w ten oto sposób w hedonistyczną nostalgię za światem, który «się należy» i na który wystarczą «cierpliwość i godnie» czekać, a twórczość Gałczyńskiego musi być już dzisiaj rozpatrywana również jako literacka sankcja polskiej korporantki społecznej*”.

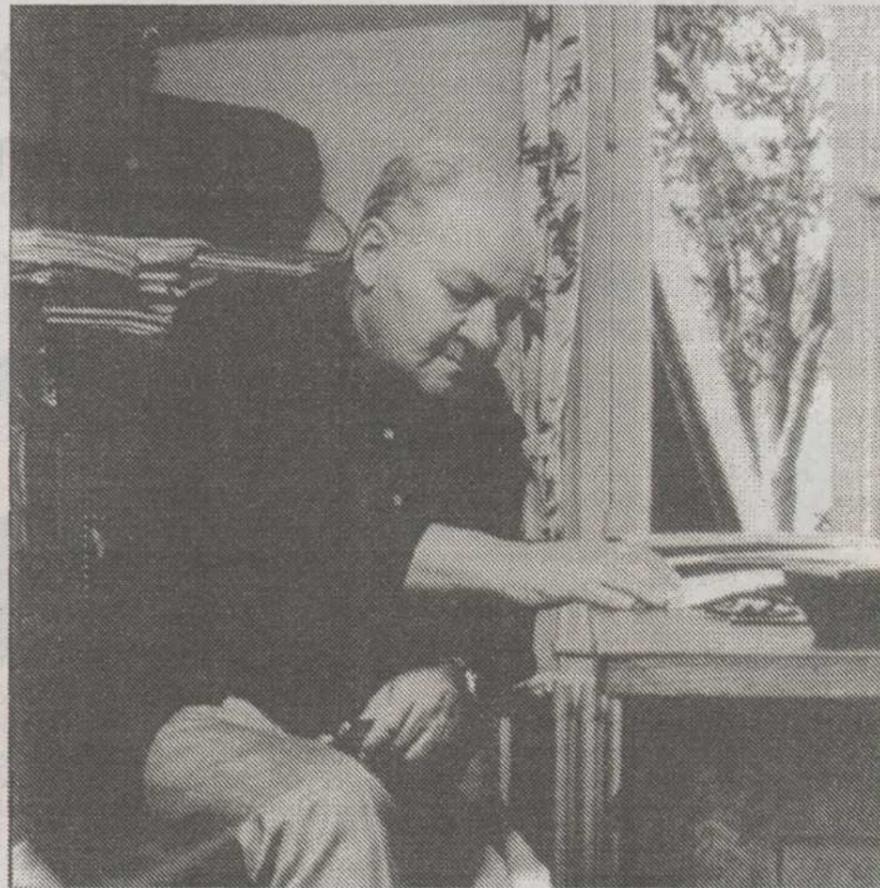
Czy należało żądać od Gałczyńskiego, aby dał receptę na inteligencką kryzys? Kiedy młody Herling-Grudziński powiada, iż wyraził poeta artystyczną zgodę „na bezdziejowość jako temat”, jakbyśmy słyszeli grzmiący głos Brzozowskiego. Czy to stosowna nuta? Oczywiście nie zamierzam dyskutować z tekstem sprzed blisko 50 lat. Krytyka poetyckiego fantazjotwórstwa łączy się w nim z podziwem dla kunsztu; ale Gałczyński otwiera — i to przedwojennym kluczem — drzwi do świata inteligenckiego oportunisty i lekkomyślności, sugeruje ścieżki zdrady... Wędrowiec inteligenckich bezdroży, lokator dworcowych poczekalni, poeta hedonistyczny i bezdziejowy, to Gałczyński u progu PRL-u. Czegoś nam tutaj brakuje, to jasne — *Notatek z nieudanych rekolekcji paryskich* chociażby. I Gałczyńskiego październikowego. Zatem ten niezmiernie ważny esej pozostaje wymowną uwerturą, podającą tonację. Ale brzmi ona do dzisiaj.

Bezpardonowym oskarżeniem są natomiast *Nekrofilacje sanacyjne*. Chodzi w tym szkicu o *Węzły życia* Nałkowskiej. Tekst powieści powstał w latach 1939–1948. Herling pokazuje przenikliwie i bezlitośnie, jak pisarka inkrustowała go „komunistycznymi wstawkami”. W jego małej historii oportunisty lokuje się Nałkowska w ciemniejszej niż Gałczyński strefie — wprowadza bowiem fałszywe przesłanki do świata swojej powieści. Rzeczywiście, *Węzły życia* są widownią dziwnych zmagania Nałkowskiej: wyjątkowa znajomość przedmiotu i jego familiarne oswojenie kłócą się wyraźnie z naddanym mentorstwem. Mówiąc zaś pamphletowo: „*Słowo «ne-krofilacja» jest nowotworem wymyślono-*

# Światło w mroku

*nym specjalnie przez autora niniejszego artykułu na użytek ostatniej powieści Nałkowskiej. Czytelnik domyśli się bez większego trudu, iż powstało ono z połączenia dwóch słów — «ne-krofilstwo» i «filiacja» — i oznacza bezczeszczenie trupa, z którym miało się kiedyś — gdy był jeszcze żywą istotą — bardzo wiele wspólnego*”.

Z *Węzłami życia* korespondują *Mury Jerycha* Brezy. Niegdysiejszy pupil Nałkowskiej wie już jak pływać w mętnej wodzie ogólników. Myślę, że należałoby tę artykułacyjną właśnie niejasność podkreślać stale i jeszcze mocniej. Słabość powieści tamtych lat, w zamyśle realistycznych, polegała właśnie na tym, że ich semantyka była wysoce nierealistyczna. Posługiwały się one retorycznym stereotypem (dobrze to widać w *Popiele i dia-*



*mentie*), co sprzyjało wspięciu się na wyżyny pustosłowa. Wińczy to dzieło jedna z najbardziej szmirowatych językowo powieści — *Rzeczywistość* Putramenta.

W roku 1948 Herling-Grudziński uważa Iwaszkiewicza za wielkiego pisarza. Z biegiem lat opinia ta podlega dewaluacji, przede wszystkim nasila się osobisty niechętny stosunek do pisarza. Widać to wyraźnie w rozmowie z Konstantym Jeleńskim, broniącym do końca Iwaszkiewicza i tolerującym jego słabości.

Mamy 1980 rok, Iwaszkiewicz już nie żyje, ale istnieje koda: wspaniały, dedykowany Jeleńskiemu wiersz *Urania*. Poeta napisał w nim, iż chciałby stać się „*Uraną, nicością i sosną*”.

W roku 1948 Herling konkludował: „*W «Młynie nad Lutynią» człowiek zdążył świadomie ku tragicznemu rozwiązaniu, jak gdyby przeczuwając, że w nim wreszcie zapanuje nad przeznaczeniem, «które jest jak noc». Może dlatego to opowiadanie Iwaszkiewicza ma w sobie coś z antycznej tragedii i coś z surowej*

*sagi skandynawskiej. Młody pisarz, pochylony nad książką Iwaszkiewicza, śledzi z podziwem tajemnicę prostoty, która prowadzi na takie wyżyny sztuki. Czyż można złożyć większy hold twórczości żyjącego pisarza?*”

Pomiedzy dwoma tekstami, o których pisze Herling, rozpościera się dramat twórcy. Wolno powiedzieć (posługując się terminologią Herlinga), iż dokonywała się u Iwaszkiewicza na przestrzeni lat, stopniowa utrata zmysłu etycznego. Istniał on jeszcze w *Młynie nad Lutynią*; ale czy nie powrócił, we wstrząsającej, ascetycznej formie w wierszach ostatnich? Przeciwnicy powiedzą, że Iwaszkiewicz postarzały i bezsilny nie usprawiedliwia rzeźkiego oportunisty i sojusznika władzy. Zgadza się z Herlingiem: tę postać pełną sprzeczności, wzniosłą

wiarygodność. Zatem powojenny realizm będziemy oglądać również w optyce przeciwnika, a nie tylko zwolenników i programatorów. Ten dialog racji inaczej ustawi historię literatury (i krytyki) tamtych lat.

Napisany w roku 1949 szkic o *Kwiatkach polskich* kończy się tak: „*Upłynęła parę lat, a poemat Tuwima wejdzie do literatury polskiej jako epeja schyłkowych lat epoki mieszczańskiej, jak przed wiekiem «Pan Tadeusz» stał się zachodzącym słońcem Polski szlacheckiej*”.

Ta przepowiednia jakby zawisa w powietrzu. Poemat Tuwima sytuuje się na specjalistycznych marginesach historii literatury — uznany za „arcydzieło stylizacji” nie osiągnął rangi aż tak odpowiedzialnego przesłania jak chciał Herling.

Szkic o Borowskim (*U kresu nocy*, 1948) pozostaje odkrywczy. Dlatego również, że ukazuje Célinowską, a więc cyniczną stronę jego pisarstwa. Borowski — autor i bohater — stwarzał klimat moralnej agresywności: stąd już krok do relatywizmu i negacji ludzkiego świata moralnego. Herling bardzo szybko dostrzegł to niebezpieczeństwo i zaprotestował przeciwko niemu.

Tom *Wyjścia z milczenia* zamyka tekst *Oprzytomnienie*, datowany 1992. Nie jest to bynajmniej krytyczna egzegeza. To apel do polskich partii politycznych, przede wszystkim zaś Unii Pracy, której przywódcy nadesłali do Neapolu list, gdzie tłumaczą się z pominięcia w swoim programie „pasma PPS” (bo w Polsce słowo „socjalizm” źle się kojarzy...). W Herlingu odzywa się niegdysiejszy lewicowiec. Broni dorobku Piłsudskiego, Limanowskiego, Ciołkowszów przed polskimi potomkami „bieszów” (nazywa ich po nazwisku: Macierewicz, Parys). To bardzo wymowna koda. Pokazuje, jak mocno Herling jest wyczulony na polskie niebezpieczeństwa, jak wciąż skłonny jest przestrzegać przed „dziećmi szatana”. Ponad krytyką rozpościera się metafizyka, wyróżniająca dla całego pisarstwa autora *Innego świata*.

I dlatego również zatytułowałam ten szkic *Światło w mroku*. Pisarzy mrocznych, ciemnych, nocnych, ba, piekielnych, dużo w tym tomie. I takie bywają również itineraria ich twórczości. Herling nie boi się diabła. Ale — jako krytyk — nie chce być tym, który dopisuje kolejne ciemne strony do tych już istniejących. Woli przypisać sobie funkcje tego, który rozjaśnia, choćby jednym błyskiem, jedną sugestią, egzystencjalne otchłanie.

I czyni jeszcze więcej: wyśmiewa bełkotliwą artykulację, rezygnuje trochę z własnej powagi.

Marta Wyka

<sup>1</sup> Gustaw Herling-Grudziński: *Wyjścia z milczenia*, opracował Z. Kudelski, Biblioteka Więzi, W-wa 1993.

U góry: Gustaw Herling-Grudziński w Maisons-Laffitte. Fot. Zbigniew Dłubak (repr. na podstawie katalogu „Kultura i jej kraj”).

Jechaliśmy powoli. Lejce zwiesiłem luźno i koń czałpał z nogi na nogę sam sobie dyktując tempo. Obok siedział dziadek trzymając przy uchu japońskie tranzystorowe radio, najnowszy wymysł techniki. Grali muzykę rozrywkową. Dziadek potrząsnął radiem.

— Nadają dziennik, ale coś słabo słychać — odezwał się.  
Rozkręcił regulator na całą moc. Zagrzmiało muzyką, trzaskami, dudnieniem membraną i innymi pochodnymi dźwięków i zgrzytów, że aż koń, choć już przyzwyczajony, odwrócił głowę i niespokojnie zastrzygł uszami. Odruchowo otworzyłem usta. Stary nawyk wojskowego artylerzysty konnego. Jak działo kropi, powtarzał zawsze plutonowy w szkole kadetów, to otwieraj usta szeroko i nie zasłaniaj ręką jak przy ziewaniu, a nie ogłuchniesz po dwóch latach więcej, jak na pięć do dziesięciu procent. Po czym rozwierał szczęki jak mógł najszerzej, stawał przy samej lufie i krzyczał: ognia!

Wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń. Z pół powiało lekkim wiatrem. Podmuchy falowały Kasztanowi grzywe i zrywały ku górze ozdobne frędzeli u kantara. Dziadek odjął radio od ucha i włożył do kieszeni kurtki. Dźwięki z głośnika nieco zelżały. Przymknąłem usta.

— Tam! — zawołał dziadek mocnym głosem. — Tam...  
— Wiem, wiem — przytaknąłem mu.  
— Tam, na tamtą górę — wskazał swoją suchą, żyłastą ręką wysuniętą z szerokiego rękawa kurtki. — Zawieziesz mnie, gdy będę umierał. Stamtąd w pogodny dzień widać dwie duże lipy, tam dalej kiedyś był mój dom. Trafisz do niego bez trudu. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcisz w prawo, albo w lewo... dokładnie nie pamiętam.

Zamyślił się chwilę.  
— Ale coś mi się zdaje, że trzeba iść prosto.  
Rozgadał się.  
— Obok był posterunek policji i jak się Komisarzowi naraziłem, to od razu raport pisał na mnie. Siedział przy biurku, ostrzył ołówek i pisał, ostrzył ołówek i pisał. Jak zaczął rano, to pod wieczór miał całą kartkę zapisaną drobnym pismem, a my stukaliśmy mu w szybę, żeby myśli zebrać nie mógł.

Dziadek zakaszlał i splunął na ziemię. Żona szturchnęła go w plecy.  
— Dajcie tata spokój dzisiaj — powiedziała cichym głosem. — Ludzie jacyś stoją na drodze, po co śmiać się mają i tranzystor wyłączyć.

Dziadek zobaczył stojących na drodze. Przyłożył rękę do czoła i wyciągnął szyję do przodu. Wypatrywał. Grdyka niespokojnie unosiła się mu w górę i opadała w dół. Na drodze stały dwa samochody z rejestracją wojewódzką obstąpione przez ludzi. Dobięgały niewyraźne pojedyncze słowa. W bicu zaplakała mała. Z dużą szybkością wyprzedziła nas taksówka z postoju. Szary kurz klebił się nad drogą szarpany przez wiatr. Wyjechaliśmy między zabudowania. Wiatr ustał. Ludzie po przejeździe taksówki znów kupą stanęli na drodze. Koń zwolnił kroku, nie zdecydowany obejrzał się do tyłu i nie czując żadnego impulsu z mojej strony, stanął. Teraz słychać było wyraźnie rozmowę.

— Co to za zabytek! — krzyzał stary Franciszek zaczesując z czoła rzadkie włosy. — Dziedzic ganiał tu po pokojach żydówki na nago i to ma być zabytek!

Kilka osób zaśmiało się.  
— Pewno odszkodowanie za powódź będą obliczali — odezwał się dziadek schodząc z wozu. — Podawaj im jak ci mówiłem.  
— Co roku do Paryża jeździł, pieniądze tracił, że go w tamtych gazetach opisywali — zawołała żona Franciszka. — Służącego brał ze sobą.  
Znów kilka osób się zaśmiało.  
— Tę łąkę za górą też nam zalało — zawołał dziadek w środku tchu.  
— Panowie, panowie — wołał miejscowy nauczyciel. — Przecież to jest zabytek o najwyższych wartościach artystycznych! Rokoko! Jakie wspaniałe założenia parkowe wokoło, a naz...  
— Siano jakie miałem ładne — przerwał mówiącemu dziadek. — I wszystko poszło z wodą, wszystko woda zabrała.

— A nazwisko Radoński nic nie znaczy? — ciągnął nauczyciel. — Poszperajcie panowie w kronikach dotyczących Mickiewicza, to spotkacie to nazwisko wśród jego przyjaciół, no... w każdym bądź razie wśród znajomych, może tak będzie poprawniej.

— Zgaś pan to radio! — zawołał ktoś na dziadka.  
— A nazwiska Krzymuskich, Karśnickich nic nie mówią? Panowie! A orły napoleońskie na bramie wjazdowej? A herby na płycie kominka w dużym salonie od strony ogrodu? Pałac budowany zaraz po powstaniu styczniowym i orły polskie na bramie, a wiecie dlaczego? Po co? Dziadek podszedł do wozu. Zaczął grzebać w kieszeniach. Wyjął radio i położył obok mnie. Zagrzmiało muzyką symfoniczną. Otworzyłem usta. Dziadek przeszukał portfel. Zaklął cicho pod nosem. Schował portfel do wewnętrznej kieszeni kurtki, radio do zewnętrznej. Zamknąłem usta. Do wozu podszedł Józek Cieśla.

— Dach zerwała burza na pałacu — wskazał palcem w stronę pałacowej bramy, gdzie na tynku odbijały się jaśniejsze plamy po zdjętych tablicach urzędujących tu ostatnio instytucji. Czuć było od niego wódkę.

— Komisja przyjechała, mają radzić, czy odbudować, czy rozebrać. Rybakowa wysłała list do dziedzica. Zawsze mu donosi, co z pałacem się dzieje. Pewno stary znowu przyjedzie, będzie tak jak ostatnio, chodził wieczorami wokoło pałacu i płakał.

— Ludzie mówią — odezwała się żona z tyłu — że podobno dziedzic choruje, nie dziwota... lata już ma swoje.

Odruchowo zerknąłem na pałac. W perspektywie lipowej alei czernił się prostokąt głównego wejścia. Przy framugach zwisały resztki wejściowych drzwi. Dach załamał się na środku tworząc coś na kształt olbrzymiego siodła. W ciemnych otchłoniach okien pierwszego piętra pojawiały się co chwila biała głowa Rybakowej, ostatniej pokłójki dziedzica. Jak co dzień, ze świecznikiem zapalonych świec, obchodziła wszystkie pokoje.

— Woda naniesie mułu na łąkę i później krowy siana żreć nie chcą — przebiegał się wśród innych głosów głos dziadka — też to powinni z PZU wynagrodzić.

Mała przeciągle zachlipała w beciku.  
— Jedźmy, jedźmy — przynaglała żona.  
Nad pałacem kołowały niespokojnie dwie jaskółki szukając swego zniszczonego gniazda. Nagle nad dachem, na tle ciemniejszego nieba, zajaśniała głowa Rybakowej. Potem wysunęły się ramiona i reszta ciała. Stała na szczycie dachu przytrzymując się jedną ręką za sterzący komin. Przez tłum przeleciał pomruk.

— Spadnie ta głupia, spadnie...  
— Nie oddam pałacu! Nie oddam! — zakrzyła histerycznie potrząsając świecznikiem. Podmuchał wiatr pogasił świecę. Dziadek gramolił się na wóz.  
— Zabiorę się — rzucił Józek przysiadając obok mnie.

Zaciąłem konia batem. Ruszyliśmy. Dziadek przełączył fale na tranzystorze. Nie wiadomo, czy celowo, czy przez przypadek, ale regulator siły był mocno przykręcony. Jednak znając dziadka i stopień prawdopodobieństwa niespodzianki z jego strony wolałem być ostrożny i usta miałem nie do końca ściśnięte.

— Dziesięć lat prawie po wojnie — odezwała się zniecała żona. — A on jak tylko hałas usłyszy to usta otwiera, bo mu kiedyś takie nauki przed wojną na przeszkoleniach wojskowych dawali, jak idzie do kościoła i dzwon na wieży usłyszy, to się jak wrota w stodole rozwiera.

Zasadniczo żonie nie wolno było zwracać mi uwagi przy ludziach, ale nie chciałem dzisiaj z tego robić użytku. Zresztą chyba faktycznie z tym otwieraniem ust przesadzałem. Józek też nie podjął tematu.

— Smutny jesteś — poklepał mnie po plecach po chwili. — Mój brat ma dwie córki i pije ze zgrzyoty i dojsz do siebie nie może, to co mówić o tobie, jak ci się trzecia urodziła. Rozumiem cię...

W gardle zapiekło mnie goryczą, ale opanowałem się i nic nie powiedziałem.  
— Nie! Nie! — niósł wiatr krzyki Rybakowej. — Nie pozwolę zniszczyć!  
Józek wyciągnął z teczek niedopitą półlitrówkę. Wypił kilka łyków, otrząsnął się i podał mi. Wypiłem do dna i rzuciłem butelkę w krzaki.

— Syna wieziemy — zawołał dziadek radośnie i klepnął Józka w plecy — syna! Niech żyje! Wychowam go po wojskowemu, byłem, kiedyś pierwszym artylerzystą w wojsku carskim.  
Zacisnął mocno pięści i uderzył jedną o drugą wyładowując kipiące w nim emocje. Józek odwrócił się i popatrzył na dziadka. Jego radosną twarz i śmiejące się oczy.

— Nie wiem czy to dobra metoda — cicho, jakby bojąc się, że dziadek dosłyszy, Józek zaczął mówić z namysłem. — Mój brat też wszystkim mówił, że ma syna, teść go całował, ścisnął, a potem...

Przeciągnął się w sobie.  
— Wczoraj zrobiłem podorywkę na polu Romanowskiego, bo ksiądz mnie prosił, on jakieś tam doświadczenia z deszczem robi.

Rozmasował szybkim ruchem uda.  
— Zdaje się, że sztuczny deszcz chce na swoje pole sprowadzić, a na sąsiada pole gradobicie.  
Machnął ręką. Żona głośno wytarła nos i brzeżkiem chusteczki otarła oczy. Obok drogi w rowie leżał płot, zwalony przez wiatr zeszłej jesieni, o którym dziadek opowiadał przeróżne historie.

— To ja go zwałem — zaczął dziadek całkiem nową wersję. — Kilka dni temu, wieczorem, właściwie to zaraz po południu...

Zaśmiał się i zatari ręce.  
— Wodziła, wodziła za mną Kudejkowa oczami, kusiła mnie spojrzeniem, aż w końcu przyłapałem ją przy tym płocie.

## Jerzy Marciniak PO



Znów pięścią uderzył o pięść i aż podskoczył na siedzeniu.  
— Mam sześćdziesiąt lat, mówi ona do mnie, to i ja sobie odjąłem dziesięć i ją przycisnąłem do płota, a płot trach na ziemię, i my na ziemię, ja na nią, a ona powiada, o dzięki ci Boże, że ten płot załamałeś, jak leżymy to Józef może się w końcu zdecydować na mnie...

Zapiszczał dziadek wysokim śmiechem, ale zaraz się uspokoił.  
— Żeby nie to, że na deszcz się miało, a ja parasola nie miałem przy sobie, to ho ho ho...  
Umilkł i zaczął grzebać w wewnętrznych kieszeniach kurtki, aż w końcu wyjął zza swetra szwedzkie czasopismo, pełne obrazków rozebranych dziewczyn.

— Ale jeszcze ją przydybam gdzieś na osobności — dokończył dziadek chowając gazetę.  
Skręciliśmy z szosy w pełną drogę. Po obu stronach rosły na pół dziczące jabłonie. W wilgotnej ziemi odbijały się konia podkowy. Z pół wiało wiatrem. Nasunąłem czapkę na oczy. Przed nami toczył się wóz Romanowskiego napędzany parą. On siedział, w skórzanej pilotce i dużych okularach z przodu i trzymał w rękach wielką korbę. Z tyłu przyczepiony był duży kocioł połączony z wozem systemem rur i zaworów. Przy tylnych kołach przymocowane były dwa parowe tłoki i duża skrzynia na opał, nazywana przez niego „magazynkiem”. Romanowski siedział sztywno i uważnie wpatrywał się w drogę. Z tyłu szła żona, brała sosnowe drwa z magazynka i podkładała do paleniska. Z wysokiego komina leciał ciemny dym. Gdy zrównaliśmy się z nimi Romanowska otarła pot z czoła i zagadała pierwsza:

— Nóg nie czuję, już tak czternaście kilometrów idę i podkładał i podkładał, bo woda w kotle musi się cały czas gotować.

Dziadek wychylił się z wozu i pilnie przyglądał pojazdowi. Z otwartych przestrzeni pół wiatr niósł zapach majeranku.

— Ja to myślę — odezwał się dziadek — żeby lepiej zbudować wóz napędzany wiatrem, na przykład na żagle, tutaj jesienią to prawie co drugi dzień huragan hula.

Józek mrugnął porozumiewawczo okiem:  
— Czytałem kiedyś o tym, konia można byłoby wyprząc a wóz by jechał i drzewa pod kocioł baba nie musiałaby podkładać...

Podciąłem konia batem. Romanowscy zostali daleko w tyle.  
— Na mnie czas — Józek szturchnął mnie łokciem i zeskoczył z wozu.  
Pomachał ręką na pożegnanie dziadkowi i żonie. Strzepnął ze spodni kilka okrucich stomy i ruszył wąską ścieżką w stronę domu.

Znów wyjechaliśmy na szosę. O szutrową powierzchnię drogi stuknęły głuchym dźwiękiem podkowy. Koła wozu podskakiwały na kamieniach. Na przystanku PKS stało kilkanaście osób. Z daleka poznałem sierżanta, mojego przełożonego z wojska. Służył jeszcze w armii austriackiej, w artylerii. Stał oparty plecami o drzewo i patrzył na brzozywoy lasek rosnący po drugiej stronie. Pomachał ręką z daleka. Żona jego stojąca obok szperała w przegródkach portmonetki przeliczając pieniądze. Potem głośnym szeptem wydyszała ze złością:

— Znowu wzięłeś dwa czterdziestki na duże piwo!  
On patrzył w naszą stronę przebiegając piśszczotliwie palcami uniesionej ręki i uśmiechał się.

# Przegląd Metafizyki Społecznej

Redakcja: Agnieszka Kosińska, Waldemar Paclawski, Wojciech Szumowski. Administracja *Waffel Press* ul. Kanonicza 7, 31-007 Kraków

W numerze:

**Natalia de Barbaro:**

*O rybie bez roweru*

**Nathaniel McMuchaman:**

*Szczupak na łańcuchu*

**Czesław Miłosz:**

*Największe niebezpieczeństwo*

**Hieronim Szczur:**

*Święty Stanisław Balbus*

Aleksander Wafłowicz

## Wstęp do Metafizyki Społecznej

Każde słowo lub koncepcja choćby wydawały się zupełnie jasne i zrozumiałe, mogą być stosowane tylko w ograniczonym zakresie.

Werner Heisenberg

*Metafizyka Społeczna. Jeden z najistotniejszych kodów kulturowych okresu millennium. Klucz (dla wtajemniczonych) do rozumienia zjawisk estetycznych i społecznych. Metoda radzenia sobie\* (w obliczu zagrożonej śmiercią ciepłą kulturą) z entropią, społecznymi ruchami Browna (występującymi w każdej współczesnej populacji) i zmianą systemową. Metafizyka Społeczna jest także rodzajem tożsamości nawet dla najbardziej zdeorganizowanych miejskich środowisk.*

Notatki o wrażliwości

„Powierzchnia, na której pracujesz (najlepiej marmur), utensylia, składniki i twoje palce przez cały czas powinny być chłodne...” (z przepisu na ciasto Francuskie, I.S. Rombauer i M.R. Becker, „The Joy of Cooking”)\*\*

1. Bardzo trudno jest pisać o wrażliwości czy smaku. Trzeba zacząć od spraw najogólniejszych: Metafizyka Społeczna jest rodzajem wrażliwości. Jest sposobem widzenia świata i rodzajem radzenia sobie ze światem.

2. Duży wpływ na zjawisko Metafizyki Społecznej miały dwa wydarzenia historyczne. Wprowadzenie stanu wojennego (częściowo przecenione) oraz wystąpienie Pomarańczowej Alternatywy. Mezalians tych wydarzeń zasługuje na uwagę.

3. Nsowe formy wyrazu wprowadzone przez Pomarańczową Alternatywę, szczególnie „abstrakcja społeczna” i „abstrakcja polityczna”, stały się wzorem logiki smaku Metafizyki Społecznej.

4. Metafizyka Społeczna lubi skutki uboczne. Pociąga ją poważny punkt widzenia, poważne traktowanie swojej roli. Tego rodzaju powaga czasami zawodzi. Zdarza się to zarówno „w przyrodzie” jak i „w oku” patrzącego.

5. Metafizyka Społeczna wymaga utrzymywania dystansu wobec własnej kultury.

6. Wrażliwość Metafizyki Społecznej jest rodzajem niezaangażowania, odmową udziału w rytuałach „wysokiej kultury”, w jej hierarchiach i zobowiązaniach. *Bóg brzydzi się nagimi osobliwościami.*

Roger Penrose

7. Z oficjalnego systemu kultury interesują ją prawie wyłącznie szumy i zniekształcenia powstające w systemie informacji (zgodnie z teorią Clauda Shannona ilość informacji wiąże się z miarą nieuporządkowania). Zbiera je i kolekcjonuje (zjawisko „zlewu metafizycznego”) po to, by wykorzystać i ponownie włączyć w obieg (ekologia metafizyczna).

*To, co jest, zapewne będzie źle wykorzystane.*

Peter Drucker, *Managing for Results*

8. Ulubionym działaniem arytmetycznym MS (mimo kulturowego stereotypu różnicowania) jest pierwiastkowanie.

9. Z fizyki Metafizyka Społeczna za najważniejsze uważa drugie prawo termodynamiki oraz kluczowe dla entropii i Demona Maxwella pojęcie „sortowania”.

*Naga osobliwość: punkt w czasoprzestrzeni, w którym krzywizna jest nieskończona.*

Stephen W. Hawking

10. Widzenie świata na sposób Metafizyki Społecznej nie polega na uwzględnianiu jedynie „rzeczy dziwnych” czy „rzeczy dziwnych samych w sobie” (choć MS ma do nich szczególny pociąg), ale na akcentowaniu jego „naturalnie” niezręcznej strony.

11. Prawdopodobnie chronologicznie pierwszym i najważniejszym, namacalnym przejawem kultury Metafizyki Społecznej było powstanie Brulionu. Robert Tekieli i inne związane z pismem osoby wykazały niezwykle intuicję trafiając z precyzją (nie tylko czasową) w fazę zupełnej nieadekwatności kultury oficjalnej. Kończył się właśnie okres heroiczny będący odpowiedzią „wysokiej kultury” na stan wojenny a estetyka fallosakralna fazy martyrologicznej stała się swoistą samozagładą. W takim właśnie czasie pojawił się Brulion — błyskotliwy, nieznośny, pomysłowy i podejmujący próbę rozumienia i znalezienia się w „nowym wspaniałym świecie”. Podczas gdy intelektualisci nadal zastanawiali się „do jakiego stopnia literatura polska napiętnowana jest świadomością sytuacji politycznej” i odkrywali „korzenny” charakter prozy Pawła Huelle — Brulion drukował wiersze Jacka Podsiadły, Marcina Świetlickiego, Krzysztofa Koehlera, Wojciecha Wilczyka i innych. Autorzy ci zupełnie nieprzejmowali się, czy rok 1989 przypomina rok 1918. Widzieli raczej swój świat tu i teraz w kategoriach Metafizyki Społecznej, kategoriach dystansu, sztuczności i stylizacji.

*Białe karły istnieją dzięki ciśnieniu elektronów, wynikającemu z zasady wykluczenia.*

Lew Dawidowicz Landau

12. Metafizyka Społeczna może mieć charakter ludyczny, jak działania Wspólnoty

Stanisław Wojs

## Parliamentary fiction

Literatura na horyzoncie zdarzeń:

Wbrew malkontentom mamy w dorobku kultury narodowej po roku 1989 zjawiska zupełnie nowe. Do nich środowisko MS zalicza realizm postkomunistyczny, obejmujący bogactwo wzorów organizujących myślenie o kulturze, ekonomii i polityce.

Literacki wymiar tego zjawiska jest prymitywny tylko na tyle, na ile oryginalne pomniki realizmu postkomunistycznego należą do tradycji literatury mówionej, a jej funkcja historyczna sprowadza się do podtrzymania więzi klanowych na szczeblu postkomwojewódzkim.

Dramatyczna potrzeba podtrzymania więzi okazała się wyjątkowo dojmująca w czasach tak przyjaznych rafinacji wrażeń smakowych, wzmocnionych znakomicie możliwością umocnienia Magdaleny nie tylko w wódce, ale w każdej żądanej cieczy spożywczej, wolnej (lub nie) od alkoholu.

Z niskiego, ale nadzwyczaj pogrubionego pnia realizmu postkomunistycznego wydarto dwa nasiona: nasienie fikcji i nasiono fabularyzowanego dokumentu. Z czasem,

ją w zdekomunizowaną wartość estetyczną. Fabularny ten chwyt nie zakrawa jednak w żadnym razie na *podróż w czasie*, lecz jest zabiegiem obliczonym na napinanie do granic wytrzymałości pojęcia ciągłości historyczno-literackiej między rozwartymi przecie epokami PRL i III RP. Taki zabieg, choć okazuje się kulturowo znośny, to jednak pozostaje zupełnie nieplodny. Anastazja w krainie Poselskich Czarów, jako funkcjonariuszka tajnych, ale nie-obcych sił jest jak niegdysiejsza kochanka przeciętnego przedstawiciela nomenklatury. W chwilach strachu przed niezdolnością do samokrytyki ramiona czułych działaczek, zwykle szczebla terenowego i zakładowego, odgrywały istotną rolę stabilizatorów układu politycznego. Funkcjonariuszki tamte zwano także — w slangu KC — *magdalenkami* lub *siostrami Feliksa Edmundowicza*.

Z innych postmodernicznych gagów w kręgu anastazjalnym rozpoznajemy bohaterów *podszrywających się pod autorów* (i odwrotnie) lub bohaterów pracy organicznej *podszrywających się pod postacie fikcyjne* lub zgoła mitologiczne.

*Trylogia anastazjalna* jest przez niektórych o-badaczy uważana jednak w pierwszej kolejności za przykład znanego w USA gatunku *parliamentary fiction* (lub też *parliamentary non-fiction*). Do klasyki pierwszego zaliczyć trzeba m.in. *Wybór Zofii na Speakera* Styrona.

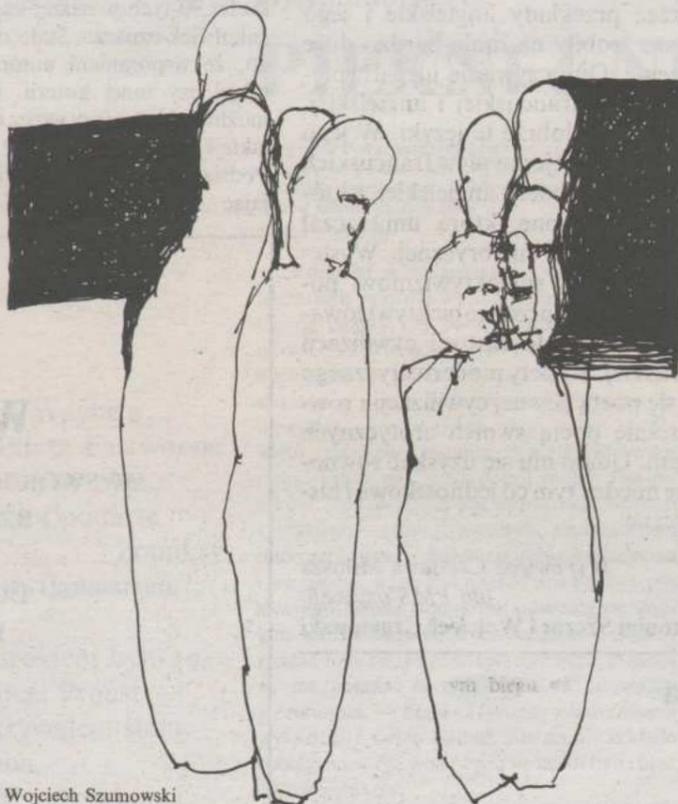
Zgodnie z zapowiedziami wydawców, poczta niedawno kadencja parlamentu może się m.in. przyczynić do ożywienia polskiego rynku pocket-booków, którymi — pod nieobecność na sali posłów 'prawicowych' — wypychane będą kieszenie złaknionej dzieł realizmu p. części elektoratu. Nie udało się jeszcze dotrzeć ani do tytułów ani autorów planowanych pozycji, ale z kręgów recenzenckich, związanych z BGW i PIW przeciekają informacje o treści przygotowanych zawczasu (na wyraźne życzenie działów marketingu) opracowań syntetycznych. Ten krótki okres w historii literatury krajowej nazwano **Empirem Lewicy**. Spodziewane jest narodzenie i upadek następujących gatunków i rodzajów:

- romansu senatorskiego;
- powieści komisyjnej i podkomisyjnej, odznaczających się rozbudowaniem partii partyjnych, przy dość udatnym użyciu zarzuconej techniki narracyjnej, tzw. *poselskiego strumienia świadomości*;
- noweli konwentualnej;
- dumki o wicemarszałku;
- poradnictwa podatkowego i ubezpieczeniowego w zakresie **auto da fé casco**.

Jak stwierdził swego czasu poseł J.: *Kultura parlamentarna jest łożyskiem parlamentarnej literatury*. Choć ujawniając tę zakorzenioną głęboko w rodzimej tradycji tezę miał na myśli problematykę gatunkową *projektu ustawy*, to trudno nad jego wieszczącą uwagę dziś się nie pochylić. Tym bardziej, że mimo wielu kongenialnych sformułowań wypracowanych przez posłów, w dziedzinie fałszowania *mitologii demokracji* wzorem niedoścignionym pozostają *Poselskie potyczki* Wł. Machejka.

W kwestii oceny spuścizny *parliamentary fiction* w Polsce pozostaje otwarta odpowiedź na pytanie o możliwość jednorazowego osiągnięcia dwóch poziomów — podnóża smaku i czubka zysku.

Stanisław Wojs



Rys. Wojciech Szumowski

w wyniku zewnętrznych zmian świadomości (tzw. uwłaszczenia nomenklatury), dodatkowo z pnia wypadło jajo. Było to jajo częściowo zapłodnione. Po dwudziestu siedmiu (albo po trzykroć dziewięciu miesiącach) od *exposé* premierowego premiera wyłoniło się podłe i gnojne, prekursorskie jednak dla *formy pisanej* realizmu postkomunistycznego przedsięwzięcia tekstowe — chodzi tu, rzecz jasna, o *Trylogię anastazjalną* (dotychczas ukazały się dwie części). *Anastazja* jest szczytem technik *PGRowskiej postmoderny*. Ideał kobiety tamże ścieleńiony przedstawia interesujący zlepek (lub też — *eklogę eklekleklezji*), a w niej połączone — *stacyjny ideał* zasadniczej postawy przewodniczącej komisji sportu przy zakładowej instancji ZMS z *dynamiką* reguły zgromadzeń Rady Zakładowej w sprawach rozdziału miejsc w kuszecie włączonej do ro-pociągu przyjaźni.

Anastazja jest bowiem działaczką ideologicznego *przyfroncia*, która przenosi się w inną epokę i samym tym aktem wszelkie konteksty artystyczne przemienione zosta-

Czesław Miłosz

## Największe niebezpieczeństwo

W każdym kraju występuje zjawisko następstwa pokoleń, ale nigdzie chyba tak jak w Polsce nie ma uzależnienia literatury, poezji od momentu historycznego. To jest **zdumiewająca periodyzacja**. Co kilka lat następuje trzęsienie ziemi i literatura musi to odbijać, musi być zupełnie inna. A przecież literatura, poezja pracują na dłuższą metę. Nie mogą zależeć ciągle od koniunktury. W poezji każdego języka są dwa nurty. Jeden jest linią rozwojową właściwą danemu językowi. Drugi nurt to udział i wpływy w literaturze światowej. Ponieważ w tej chwili żyjemy w globalnej wiosce, międzynarodowe wpływy są tak duże, że to naturalnie musi objąć także poezję polską. Ale każda poezja jest zakotwiczona w swoim języku. Ważne jest znalezienie równowagi, pomiędzy tymi elementami i pewnego rodzaju opór wobec nadmiernej międzynarodowości. Kiedy w 1989 roku mówiłem o potrzebie stawiania pewnego oporu wobec tego, co przychodzi z zewnątrz, z Zachodu, odpowiedziano mi: „to pan chce skansen zrobić”. Oczywiście nie o to mi chodziło. Na szczęście polska poezja XX wieku jest bardzo specyficzna. Z mojej perspektywy bardzo widoczne i ciekawe jest to, że polska poezja ma w nadmiarze to czego amerykańska poezja ma w niedomiarze. W polskiej literaturze jednostka jest bardzo słaba, to znaczy indywidualny człowiek z wszystkimi jego związkami z innymi ludźmi. A to przecież jest główny temat poezji amerykańskiej, której najważniejszym doświadczeniem jest doświadczenie rodziny. Są takie poetki, jak Sharon Oats, których cała poezja wyrasta stąd, że ojciec był potworem a matka... itd. Tego w polskiej poezji nie ma. Natomiast amerykańska poezja ma duże trudności z ujęciem całościowym, opisem społeczeństwa. A to z kolei w Polsce należy do tradycji, skutkiem czego w Polsce nie ma powieści, dlatego, że powieść opiera się na zwyczajnych stosunkach międzyludzkich, na związkach rodzinnych

i uczuciowych. Treścią polskiej literatury jest wyłącznie społeczność. Na przykład *Czytadło* Konwickiego. Bohaterem tej książki jest Warszawa, a nie indywidualne jednostki.

Czytam trochę wierszy młodych poetów i widzę wyraźne skłonności solipsystyczne. To jest przede wszystkim rejestrowanie wrażeń. Akcentowanie indywidualnej percepcji. Niemożność znalezienia jakiegoś chwytu, który by pozwolił młodemu poecie wyostać się poza swoje ja. To jest pochodna tej słabości indywidualności. Może to jest szukanie wyjścia, szukanie w sobie jakiegoś oparcia. Myślę, że **największym niebezpieczeństwem dla młodych jest skoncentrowanie się wyłącznie na literaturze**.

Przykładem niezwyklego przedsięwzięcia w literaturze XX-go wieku był przypadek Kafkisa. Należy pamiętać, że Kafkis wychował się jeszcze w XIX wieku. Jego słynny wiersz *Czekając na barbarzyńców* był napisany w 1899 roku, choć wydaje się, że jest napisany po różnych doświadczeniach XX-go wieku. Kafkis napisał też mnóstwo bardzo złych wierszy, zanim wpadł na swój trop cywilizacji helleńskiej. To było śmiałe przedsięwzięcie. Z Kafkiszem zetknąłem się poprzez przekłady angielskie i jego wiersze zrobiły na mnie bardzo duże wrażenie. On oczywiście ulegał wpływom poezji francuskiej i angielskiej, znał bardzo dobrze te języki. W jego poezji wyraźny jest wpływ francuskich parnasistów i poezji angielskiej, z której wzięł personę, którą umieszczał w perspektywie historycznej. Występował przeciw subiektywizmowi poezji XX wieku, przez zobiektywizowanie, sięgnięcie do historii cywilizacji helleńskiej. Z poety modernistycznego stał się poetą pewnej cywilizacji i równocześnie poetą swoich erotycznych obsesji. Udało mu się uzyskać równowagę między tym co jednostkowe i historyczne.

*Wypowiedź Czesława Miłosza dla PMS uzyskali: Hieronim Szczur i Wojciech Szumowski*

### Pierwsza Konferencja Terenowa w temacie NOGI LITERACKIEJ

W dniach 18-20 września odbyła się 1 KT wt NL.

Częściowo wyczerpany porządek obrad, obejmował:

- Przegląd Metafizyki Społecznej jako chudoba etosu losowego na tle ojczyznianym.
- Pryncypia MS: tezy kol. W. Sz. (dyskusja)
- Deklaracja powyborcza Unii Metafizyki Modalnej; modalne jest polityczne — społeczne jest metafizyczne.
- Prezentacja: Antoine d'Maciarewitch — Pasta ze Spenglera na wrzody: pesymizm w wersji promieniotwórczej. Historia tragiczności poza Nietzschem i smutek aktualny.
- Szczytowe osiągnięcie polskiego postmodernizmu: Naród jako spisek.
- Czy machismo ma przyszłość? Jak pobudzić feministki do feminizmu lojalnego wobec kobiety: złoty wiek feminizmu ofiarne (na ołtarzu społecznym).
- Macho w Polsce. Teza podstawowa: jaki macho w danej kulturze, taki poziom kultury w danym feminizmie. Teza dodatkowa: kulturowe płciowości nie są komplementarne. Projekt kultury komplementarnej w pełni rekreującej współdziałanie obu płci, a raczej realizującej pełnię płciowego supercontinuum.
- Kim jest Ojciec-Polak, czyli kto wykreślił 22. postulat sierpniowy. Rewolucja solidarnościowa jako ruch chłopców i kobiet.
- Prehistoria pewnego skandalu: czy polski chłopak ma rurkę na opak. Projekt zdarzenia literackiego nieobojętnego dla obydwu kręgów skrajnych płciowych kulturalizmów.
- Szerzenie się grupy MS: projekt socjotechniki mody.
- Rozmowy in-Tym-no-Dez-odór-ujące.

Niektóre z wymienionych będą w miarę możliwości rozwijane w następnych numerach PMS.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

LEEEŻEĆ, Galerii Działań Maniakalnych czy grupy poetyckiej „Złali mi się do środka”. Nieocenionym kronikarzem i animatorem tego nurtu Metafizyki Społecznej jest Zbigniew Sajnog (jeden z liderów Tranzytoryjnej Formacji TOTART) redaktor *Superniezależnego Fanzinu Inteligenckiego* „Śmigło” będącego Przeglądem Archeologicznym Metafizyki Społecznej. W latach 1990/91 PAMS „Śmigło” na łamach Tygodnika Literackiego przedstawiało swoim specyficznym czytelnikom prawdziwe klejnoty MS (także antycznej! — felietony Krzysztofa Skiby pisane metodą kontrolowanego braku głębi).

13. Te przejawy MS nie są zwyczajnie śmieszne. Mają one raczej po prostu cieszyć. Przykładem tego rodzaju smaku (pochodzącym zresztą z tego samego okresu) jest zdanie: „Nic się nie stało ale wyciągnijmy z tego wnioski”.

14. Istnieje też wyrafinowana odmiana Metafizyki Społecznej, która wyrafinowaniem nie jest. Należą do niej wiersze Jacka Podsiadły. Np. „Zabity żołnierz wspomina anarchistrkę mającą tyle seksu, że wręcz musiała go sprzedawać”, czy też bardzo zdolna lodówka doskonale wstawiona do wiersza „List z podróży do Pawki Marcinkiewicz”. Do kanonu Metafizyki Społecznej należy też na pewno figura doskonała: ogród koncentracyjny, którą (z dwoma porami na kolację) rysuje Marcin Świetlicki.

*Czarna dziura nie ma włosów.*

*Roy Kerr, David Robinson i inni*

15. Tak się składa, że wymienione tu przykłady Metafizyki Społecznej są jednymi z najważniejszych wydarzeń początku lat 90-tych w naszej kulturze, jeżeli to cokolwiek oznacza. Stało się tak nie dlatego, że wspomniani autorzy należeli do takiej czy innej koterii, umiejscowionej możliwie blisko (czy wręcz będącej częścią) jakiejś opiniotwórczej elity. Wiersze Jacka Podsiadły czy Marcina Świetlickiego omijając „czarną dziurę”\*\*\* *Tygodnika Po-*

*wszechnego* (choć jeden z autorów przebywa w niebezpiecznej bliskości) weszły do obiegu literackiego w sposób najbardziej naturalny. Dzięki doskonałemu opisowi kulturowego tła przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, dzięki bliskości duchowego doświadczenia i rodzajowi jego odczuwania zostały wybrane przez czytelników. Oczywiście wiersze te najbliższe są czytelnikom, którzy przeżyli Metafizykę Społeczną stanu wojennego i Pomarańczowej Alternatywy, rówieśnikom autorów urodzonych w latach sześćdziesiątych, jednak MS nie ma zdecydowanie pokoleniowego charakteru.

*Cheyan po ślubie nigdy nie wypowiada imienia swojej teściowej.*

*Bronisław Malinowski*

16. Wartość tej poezji została dostrzeżona także przez niektórych członków establishmentu kultury uniwersyteckiej. Poezja ta nie została jednak przez nich wylansowana. Jacek Podsiadło i Marcin Świetlicki weszli do obiegu kulturalnego raczej przez Brulion i jego „barbarzyńskie” antologię (ostatnio także Brulion Tv — emisja Metafizyki Społecznej w telewizji od dawna ma swoje stałe pory) niż za pomocą publikacji w Nagłosie.

17. Było to możliwe także dzięki doświadczeniu Metafizyki Społecznej, która pokazała, że wrażliwość kultury uniwersytecko-salonowej nie ma monopolu na subtelność, a wartościowe zjawiska nie muszą koniecznie szukać namaszczenia czy pośrednictwa kultury oficjalnej.

**Aleksander Wąflowicz**

\* Znanie są kliniczne przypadki zredukowania dysonansu poznawczego za pomocą systemu Metafizyki Społecznej.

\*\* cytaty za Margaret Atwood „Kobieta do zjedzenia”, Warszawa 1986.

\*\*\* zob. „Czarna dziura lat osiemdziesiątych”, *Tygodnik Powszechny* nr 13/1990.

Ulubione przez MS cytaty poezji „nowej fizyki” za: Werner Heisenberg „Część i całość”, Warszawa 1987; Stephen W. Hawking „Krótka historia czasu”, Warszawa 1990.

## ARTA WYDAWNICTWO

W SWOICH PUBLIKACJACH PRAGNIE MÓWIĆ  
O RZECZACH NAJWAŻNIEJSZYCH  
BYĆ BLISKO  
DOBRA I ZŁA W CZŁOWIEKU  
PRAGNIE MÓWIĆ O JEGO  
ZMAGANIACH  
Z LOSEM



W SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI WYDAWNICZEJ  
OFERUJE PAŃSTWU  
PROFESJONALIZM I NAJWYŻSZĄ JAKOŚĆ USŁUG  
PRZY  
REDAKCJI, WYDAWANIU I DRUKU  
KSIĄŻEK I ALBUMÓW  
WYDAŃ BIBLIOFILSKICH, REPRINTÓW  
GAZET I KATALOGÓW  
FOLDERÓW, KALENDARZY, PLAKATÓW

31-010 KRAKÓW, RYNEK GŁ. 30  
TEL. (012) 22 95 98, 22 97 71, FAX 22 58 70

# HIERONIM SZCZUR

## Święty Stanisław Balbus

„Piliśmy jak zwykle tego wieczora  
marnując najlepsze chwile swego życia”  
Jerzy Górzanski

— dokąd jedziesz?  
— z kurzem i krwią do Piekła  
stoimy na przystanku  
jest północ  
wiatr nam nie ufa  
kołyszemy się dziwnie  
przyjeżdża autobus  
w środku spętani sznurami leżą  
Rodion Raskolnikow Ezra Pound Pies Pluto  
Lech Wałęsa i dwanaście czerwonych świnek  
— patrz! ten smutny niedźwiadek...  
— ależ tak! to Stachu nasza „liubow”  
dwa osiłki wiążą nas sznurami  
autobus przebija się przez mrok  
przy wątych ulicach czyhają zimne domy  
w których jak w pułapkach kisa organizmy  
— Bursa mówił że na dnie piekła  
kiszą kapustę i płodzą dzieci  
— a cóż nam pozostało? jak mówi alkoholik Haszek:  
„w życiu można być szczęśliwym tylko jako wariat”  
jedna ze świnek zabiera Wałęsie Matkę Boską  
paćka rykiem a pozostałe rechoczą z dowcipu  
przez uchyloną szybę osacza nas gorzki zapach nocy.

## Ukryte blaski dzieciństwa

„Ale przez ludzi wygnany  
w rozbłysku światła leżą jeszcze,  
dziecko z rękami otwartymi,  
na brzegu drzew, na rzeki progę”  
Salvadore Quasimodo

Henri Matisse! czy znasz blaski dzieciństwa  
ukryte w kurzu piwnicy: pomięte zdjęcia Johna Wayne'a  
i Clint Eastwooda  
z odległym światłem westernów w tle; prezerwatywy ojca  
wypchane watą i wyschniętymi zębami czosnku; podarte  
komiksy  
oraz majteczki siostry zdeflorowane czerwonym flamastrem?;

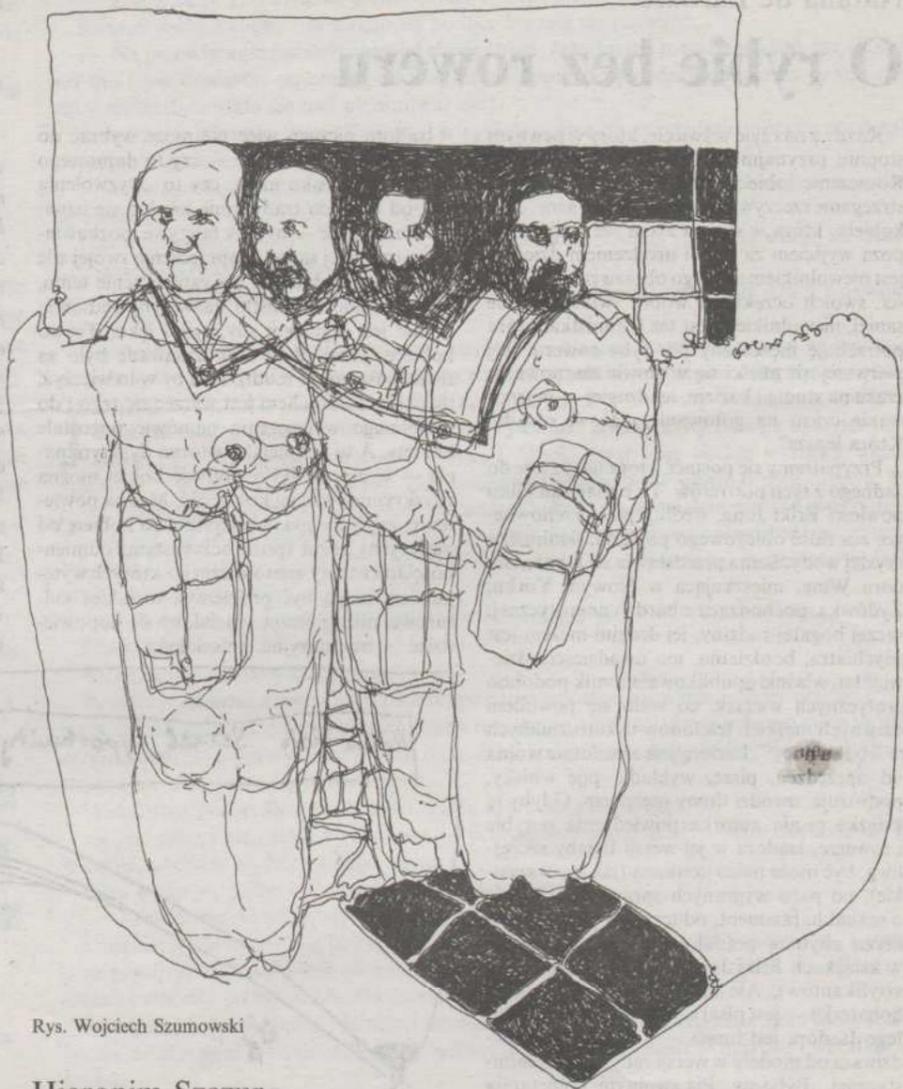
„dziewczeta, gałązki róży, których głównym urokiem było to,  
że się rysowały na tle morza” wyznaje mi Marcel Proust —  
wywołuję blaski dzieciństwa: piersi, które pokrywałem śliną,  
dryfują ku mnie, dziewczyny o szorstkich udach  
rozchylonych niczym rozlupane orzechy, ciepłe garkuchnie  
schowane w brzuchach — pożądam ich w cieniu drżących  
klonów;

Henri Matisse, kolorycie moich wspomnień — chciałbym,  
abyś razem ze mną wydobył z tego blasku jeden intymny  
przedmiot:  
stanik mamy, w którym trzymałem kradzione soczyste jabłka;  
wezmę go z czułością i trzymając jak świecę pójde po schodach  
na górę  
zostawiając za sobą na tle piwnicy ukryte blaski dzieciństwa;

Hieronim Szczur

Postrach dyskusji literackich, spotkań autorskich i komisji egzaminacyjnych kilku wydziałów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor efemerycznych magazynów i wirtualnych antologii. Autor „Ody do Humphrey'a Bogarta” i hagiograficznego poematu kieszonkowego „Święty Stanisław Balbus”. Jego działalność to prawdziwy czwarty obieg (nie mylić z wymiarem) literacki (poemat H.Sz. „Miłość młodego mężczyzny na tle drzew śpiących na cmentarzu” — jeden z najlepszych wierszy dekady — nie mogąc znaleźć wydawcy od kilku lat krąży w różnych wersjach po kraju, ścigany przez autora). Pryncypalnie awangardowy i obsceniczny erudyta. Wrażliwy i bezkompromisowy obserwator codzienności i metafizyki społecznej. Autor ironicznych, złośliwych i prowokacyjnych wierszy (pisanych zwykle techniką collage'u — litanii) pełnych literackich aluzji i odniesień. Ich zakres sięga od klasyki XX-wiecznej poezji nowoczesnej do symboli popkultury i mlecznobarowej zwykły (od Ezry Pounda do Psa Pluto). Wiersze Hieronima Szczura, choć czasami w irytujący sposób inkrustowane obscenicznym językiem, są jednak interesującym wyrazem nowej wrażliwości pokolenia „dzieci stanu wojennego” i pomarańczowej alternatywy.

Wojciech Szumowski



Rys. Wojciech Szumowski

Hieronim Szczur

## PIĘKNI I NIECZULI

„Pogodna ironia wiecznego błękitu  
Przygnębia, piękna i nieczula jak kwiaty,  
Bezsilnego poetę, co przeklina swój geniusz  
Wśród jałowej pustyni Bólu”  
Stefan Mallarmé

„Roczniki sześćdziesiąte” — hasło, które wiele osób wprawia w zakłopotanie i nerwowe tiki na twarzy; czy poza wymienieniem paru nazwisk i kilku oklepanych frazesów wyuczonych w szkole potrafiliby powiedzieć coś rozsądnego o poezji tych roczników? Sądzę, że niewiele. Muszę wyznać, choć będzie to dla wielu czytających niemiłe, iż wiele bzdurnych opinii krąży na temat poezji moich rówieśników. Zdziwiająca jest impotencja twórcza krytyków — zamiast zajmować się rzetelnymi interpretacjami, wybaluszają gały z bezradności i nie wiedzą, gdzie jest pogrzebane ścierwo psa zwanego Młodą Literaturą; odurzają się słodkim snem Konrada, zaś wieczorami z nudów trzepią żony po tyłkach. Tylko nielicznym udaje się nie pogubić w tym biegu na orientację: Kornhauser — Stala ... Trochę zdań czasami wykształci z siebie Balbus, ale często zakłada opaskę na oczy i woli bawić się w Ali babę oraz 40 rozbójników.

To śmieszne, absurdalne, drażniące — wiele osób narzeka na chaos panujący w literaturze, ale prawie nikt nie kiwnie palcem, aby wytyczyć ścieżkę w tym bagnie pełnych pereł i rupieci. Mam nadzieję, że moje uwagi przyczynią się choć trochę do rozjaśnienia sytuacji.

Sądzę, że dla mojej generacji punktami zwrotnymi były dwa fakty: debiut w 1980 r. w serii „Pokolenie, które wstępuje”, pięciu indywidualności: Bronisława Maja (ur. 1953), Andrzeja Sikorskiego (ur. 1953), Dariusza T. Lebiody (ur. 1958), Piotra Cieleśza (ur. 1958), Jana Rybowicza (ur. 1948); debiut w 1984 roku Dariusza Wiśniewskiego i Marka Zgajńskiego.

Według mnie najbardziej znaczącą rolę odegrał Lebioda — w tomiku „Samobójcy spod wielkiego wozu” opisał środowisko punków, ich mentalność, zbuntowanie przeciw konwencji; tomik ten wprowadził nowy model poezji — „socjologiczny reportaż” — którym posługują się m.in.: M. Zgajński, D. Dorn, J. Podsiadło.

Inną postacią kultową był Dariusz Wiśniewski, który w swoich wierszach utrwalił sceny ze szpitali psychiatrycznych; drastyczny erotyzm, ironia i okrucy melancholii: to atrybuty tekstów Wiśniewskiego.

Uważam, że nie Miłosz, Herbert czy Biało-

szewski, ale właśnie Lebioda i Wiśniewski bardziej wpłynęli na niektórych moich rówieśników; zresztą, o wpływach, którym ulegaliśmy i naszych fascynacjach literackich można by napisać książkę grubszą niż „Oblęd” Krzysztonia.

Chciałbym się skoncentrować w swoich uwagach na tych, w których upatruję liderów „roczników sześćdziesiątych”. Są to: Krzysztof P. Szatrawski (1961), Marcin Świetlicki (1961) Janusz Wosiek (1961), Robert Adamczak (1963), Marcin Baran (1963), Krzysztof Koehler (1963), Piotr Maur (1963), Mariusz Baryła (1964), Jacek Podsiadło (1964), Wojciech Szumowski (1964), Dariusz Foks (1966), Krzysztof Jaworski (1966), Marcin Sendecski (1967), Hieronim Szczur (1968), Artur Szlosarek (1968) i Paweł Marcinkiewicz (1969).

W twórczości wymienionych autorów można wyodrębnić trzy tendencje: quasi-klasyczna (Szatrawski, Koehler, Szumowski, Szlosarek, Adamczak, Baran); „pop” (Świetlicki, Podsiadło, Foks, Jaworski, Maur, Baryła, Sendecski, Marcinkiewicz) i quasi-awangardowa (Szczur, Wosiek). Oczywiście, nie jest to ustalony schemat — niektórzy poeci oscylują między tendencjami i trudno ich jednoznacznie scharakteryzować.

Poezja dąży do zabójstwa języka — to przewrotne zdanie Rolanda Barthesa jest leitmotivem dla poszukiwań „roczników sześćdziesiątych”.

Moi rówieśnicy posługują się specyficznym językiem — z jednej strony jest to mowa ulicy, rytm rocka, żargony środowiskowe, a z drugiej liryka zmielona w maszynce do mięsa, nostalgia, samotność, nuda. Myślę, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że jest to od kilkunastu lat najbardziej „wytracona z równowagi” generacja poetycka.

„Roczniki sześćdziesiąte” mają świadomość tego, że literatura we wszystkich swoich formach już się zużyła, dlatego (z odrobiną wahania w głosie) mogą powiedzieć, że tworzą „antypoezję”; szukają, próbują reanimować stare formy (np. hymn, elegia, oda — jest w tym trochę powrotu do neoklasycyzmu Rymkiewicza z lat sześćdziesiątych), eksperymentują.

„W pewnym sensie wszyscy jesteście amatorami” — mówi Kawafis. I znowu prawotne, dyskusyjne zdanie. Nasze lektury, dzieciństwo, kompleksy i obsesje. Eliot, Kawafis, Kafka,

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Odpowiedziałem mu uśmiechem. Gdy mijaliśmy przystanek wymenił z dziadkiem głęboki ukłon.

— Słyszałem o nim — wskazał dziadek ręką sierżanta. — Był ranny w bitwie pod Rarańczą, dzielny zuch.

Koń czując bliskość domu przyspieszył kroku. Z kieszeni dziadkowej kurtki dobiegały głosy jakiegoś przemówienia. Żona karmiła córeczkę piersią. Na drzewie gwizdał kos. Pachniało żywicą.

Po chwili wjechaliśmy na podwórze. Na progu domu stała babka i obie pocieszki. Dziadek złapał becik, uniósł do góry i zawołał:

— Niech rośnie zdrowo i przejmie po nas gospodarstwo!

Babce zaskrzyły się łzy w oczach.

— Pójdź, pójdź małeństwo — zachlipała.

Podbiegła do becika i objęła go rękami przytulając do piersi.

— Ja go wnoszę! — zaprotestował dziadek.

Podniósł głowę do góry i majestatycznym krokiem wszedł do domu. Żona, babka i córeczki weszły za nim. Zostałem na podwórzu sam. Wyprzągnęłam konia, pogłaskałam po łbie laszącego się Pioruna i poszedłem do stajni. Dałem krowom siana. W głowie kotłowało mi się tysiące myśli. Z tym, że każda była co najmniej zła. Dziadek kręcił się po podwórzu i nucił pod nosem starą żołnierską piosenkę. Od strony domu Romanowskiego biła w niebo smuga czarnego dymu. Pewnie znowu gotuje wodę w wannie i puszcza dymne świece, żeby wywołać sztuczny deszcz, domyśliłem się. Stara jego metoda, najpierw wysyła parę w powietrze, która następnie jako skroplona ma spadać na ziemię a świeca dymna ma zastąpić ciemne, deszczowe chmury.

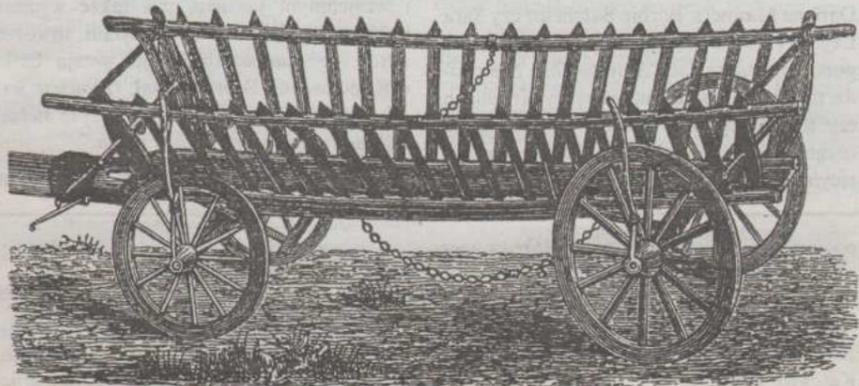
— Romanowski w akcji — wskazał dziadek na dym.

Wszedłem do domu. Zjadłem szybko kolację i położyłem się spać. Zасыpiając słyszałem jak w kuchni żona i babka lały wodę do wanny sposobną małą do kąpeli. Za oknem, ze świszczącym zawodzeniem skrzydeł, przeleciał klucz dzikich kaczek.

Nad ranem obudziła mnie żona. Miała obrzęknięte od niewyspania oczy i wykrzywioną w przestachu twarz.

— Wstawaj!

# DRODZE



Wstałem. W drugim pokoju, obok dziadka łóżka, stała babka, żona, Kasia i Marysia. Dziadek leżał na wznak z nieruchomym wzrokiem. Usta miał szeroko otwarte i głośno dyszał. Na czole kleiły mu się mokre od potu włosy.

— Zaprzęgaj konia — zwrócił się do mnie. — Zawieziesz mnie na moją górę, na mnie już czas.

Babka przytknęła mu do ust szklankę z gorącymi ziołami. Dziadek wypił kilka łyków, resztę chlusał na podłogę.

— Pośpiesz się — wydyszał w moją stronę.

Przytaknąłem mu głową.

— Wczoraj wszedł jak kąpaliśmy małą — lamany szeptem odezwała się żona. — I... i zobaczył, że to córka...

Babka przyłożyła mu zimny okład na czoło.

— Poleży siedem dni i wyzdrowieje — oceniła sytuację. — Chociaż przy Kasi i Marysi tak mocno nie chorował.

Zjadłem śniadanie i pogałęm krowy na pastwisko. Dzień zapowiadał się ładny. Niebo całe błękitne, tylko gdzieś tam poprzetykane pierzastymi, białymi obłoczkami. Krowy machały nerwowo ogonami opędzając się od much. Pies łapczywie pił wodę w strumyku. Obok drogi ciągnęło się porośnięte chwastami pole Romanowskiego nie uprawiane od kilku lat.

— Rybakowa od wczoraj siedzi na dachu — zawołał przejeżdżający listonosz.

Po łące sierżant z armii austriackiej biegł wolnym truchtem ubrany w zielony dres. Posłał mi z daleka głęboki ukłon. Odpowiedziałem podobnym. Usiadłem pod drzewem, żeby nie zaziębić się, podłożyłem zimową czapkę pod siedzenie. Z kilku drzew zwisały ku ziemi zwoje drutów i kabli. Na jednej z wysokich lip siedział Romanowski. Słychać było jak głośno, monotonicznie powtarzał:

— Tu orzeł, tu orzeł, bór, zgłoś się do mnie! Odbiór!

W dniu nieparzyste używał zwykle innego kodu: tu jaskółka, jaskółka, borsuk zgłoś się, odbiór. To, czy kiedykolwiek bór, borsuk lub ktoś inny zgłosili się do niego, pozostanie chyba na zawsze jego słodką tajemnicą. Pies tarzał się w trawie. Na białych główkach kwitnącej koniczyny bzycały pszczoły. Widocznie coś Romanowskiemu dzisiaj wyjątkowo nie szło dobrze, bo po chwili krzyknął ze złością do żony:

— Poruszaj transformatorem!

Ona przewijała cienki drut z jednej szpulki na drugą. Słyszając głos męża wzięła długą żerdkę i postukała w zawieszoną na gałęzi gruszy pudełko.

Po chwili Romanowski zszedł z drzewa.

— Drut nawijaj równo — polecił podniesionym głosem żonie. — Ja idę do domu odpocząć.

Gdy przechodził obok splunął ze złości na ziemię i zagadał:

— Jutro spróbuję połączyć obwód szeregowo.

Przytaknąłem mu głową z grzeczności. On uniósł lekko czapkę do góry i rozczapierzonymi palcami poczochnął się po głowie. Daszek czapki na środku, od ciągnętego dotykaniem palcami, był przeorany ciemną, wysłichtaną smugą. Od spodu ciemno wyzierała podszywka z grubego, kiedyś zapewne białego, lnianego płótna.

— W domu na obrusie narysowałem jej talerz, łyżkę, widelec, żeby nie musiała zastanawiać się, gdzie co położyć, żeby nie musiała niepotrzebnie myśleć, rozpraszać się, a mimo to, nie potrafił nawijać równo zwojów.

Wyjął z kieszeni dwie, nieduże szpulki drutu miedzianego i rzucił na ziemię.

— Zwoje są pokrzyżowane, jedna warstwa zachodzi na drugą.

Kopnął jedną szpulkę i ta tocząc się po łące zaczęła się rozwijać.

— Na przecieradle narysowałem jej głowę i nogi, żeby też nie musiała myśleć, jak się kłaść do snu... jak dostałem zapomogę od księdza, to kupiłem jej siedem jednakowych sukienek, żeby nie zastanawiała się nad ubieraniem się...

Popatrzył w kierunku żony. Usta miał ściągnięte w gniewie, broda i wargi lekko mu drżały. Wyciągnął z kieszeni książkę. „Fizyka dla klasy VII”, przeczytałem tytuł.

— Proste doświadczenia nie mogę przez nią zrobić — palcem wskazującym stuknął w okładkę.

Nasunął czapkę głęboko na czoło i podszedł do żony. Odgiął jej dolną wargę ku dołowi i mocnym szarpnięciem wyjął dolną szczękę.

— Sam ją zrobiłem — potrząsnął szczęką. — Bo tą starą już nie mogła drutu z nawojów przegryzać.

Przednie zęby były obkute metalową, nierdzewną blachą. Rzucił szczękę w jej kierunku; złapała ją w powietrzu i wprawnym ruchem włożyła na właściwe miejsce. Zazgrzytała zębami. On kopnął butem różową główkę kwitnącego ostu i ruszył w stronę domu.

Jakoś nie miałem ochoty wracać w rodzinne pielesze. Krowy żarły trawę z apetytem. Pies pasikonik. Sierżant robił przysiadki. Zamknąłem oczy oparłszy głowę o pień drzewa. Pod powiekami migąły mi tysiące obrazów, ale prawie w każdym widziałem cząstkę twarzy żony. To jej usta, to włosy opadające na czoło, to oczy. Raz zamysłone i pogodne, raz patrzące trwoźnie i zatroskane, i tylko raz na króciutkie mgnienie roześmiana, szczęśliwa jej twarz i takie samo spojrzenie.

— Z czego się cieszysz? — zelektryzował mnie nagły głos.

Obok stał Józek.

— Masz taką zadowoloną minę.

Popatrzył na mnie długim spojrzeniem, po czym wrzucił ramionami, odwrócił się powoli i odszedł. Dochodząc do krzaków leszczyny raz jeszcze odwrócił głowę mierzając mnie krótkim zerknięciem. Po czym wylamał prosty, długi kijek i pognął do obory krowy Romanowskiego, stojące już drugą noc na pastwisku.

Wieczorem poszedłem do kołyski. Żona zagroziła mi drogę.

— Nie martw się, sama wychowam — powiedziała stanowczo. — Nie dochodź do niej w ogóle, obejdziesz się bez twojego wiana i...

Głos lekko jej zadrgał. Przygryzła nerwowo usta.

— Rodzice mi pomogą, wychowam bez twojej łaski...

Objąłem ją. Szarpnęła się do tyłu. Trzymałem ją jednak mocno i nie puszczałem. Targnęła ciałem jeszcze raz, wyraźnie słabiej. Pogłodziłem ją po włosach. Odrzuciła mi lekko rękę. Oczami wodziła po podłodze. Pocałowałem ją w policzek i poszedłem spać.

Nazajutrz była niedziela. Wstałem około południa. Od dłuższego niż zazwyczaj leżenia bolała mnie głowa. Wszedłem do kuchni. Przy łóżeczku małej siedział dziadek i wołał do niej głośno:

— Tiuuuurli, triuuuuurli, ti, ti, ti, moja ty kochana, moja córeczka, ti, ti, tu, tu, tu...

Łapał jej małą rączkę, przykładając do ust i całował raz za razem. Napilem się ciepłego mleka i wyszedłem na dwór. Po podwórzu leniwie laziły kury grzebiąc pazurami w zeschniętej ziemi. Babka wracała z kościoła. Cezar, merdając ogonem, wybiegł jej na spotkanie i skakał wokoło niej z uciechy.

— Rybakowa zeszła z dachu, żeby przyjść do spowiedzi, ale zaraz po mszy ma znowu iść siedzieć tam z powrotem, strasznie przez te kilka dni wychudła.

Babka, jak za każdym zresztą razem, wytarła starannie buty przed progiem zanim go przekroczyła.

— Aha! Ksiądy prosił, żebyś zebrał Romanowskiemu kartofle z pola.

Gwizdnąłem na Cezara i poszedłem na spacer w stronę wzgórza, pokrytego rzadkim, sosnowym laskiem, gdzie w młodości zjeżdżałem na nartach. Przed oczami kołowało mi tysiące różnorodnych i różnobarwnych obrazów i malowideł a w głowie tysiące myśli. Ale stopniowo obrazy, zwidzenia i myśli zaczęły się porządkować, układać w całość i tworzyć logiczny sens. Pies skoczył w bok i pognął za zającem. Gonił go zawzięcie aż do samego lasu, dopóki zając nie zniknął wśród gęstych krzaków jeżyn. Sygnaturka na wieży kościelnej dzwoniła na Anioł Pański. Przeżegnałem się. Po łące za strumykiem spacerowały dwie młode sarny. Od strony pałacowego parku dobiegały jakieś krzyki i szloch, krótki, nerwowy. Podszedłem bliżej. Na bramie robotnik w wytartym kombinezonie i kasku na głowie przybijał tablicę „Dom przeznaczony do rozbiórki”. Dlaczego akurat w niedzielę, pomyślałem. Na tarasie, przed głównym wejściem, siedział na krześle dziedzic. Białe włosy opadały mu kosmykami na czoło. Obok stała Rybakowa. W rękę trzymały świeczniki z zapalonymi świecami. Po gazonie i dojazdowej alei krzątali się robotnicy. Rozkładali kilofy i młoty. Dzieciół stukał głucho w drzewo. Obok rozłożystej sosny kłęczał Romanowski z żoną. Wpatrywali się w kępę żółtych mleczy.

— Ciekawe zjawisko — krzyknął do mnie. — Z jednej łodyżki wyrastają dwa kwiaty. Romanowska trzymała pod pachą kilka książek, które on wyjmował co chwilę i zawzięcie kartkował. Na rękach miał gumowe rękawiczki, a więc musiał pracować tutaj już wcześniej rano, kiedy rosa jeszcze nie obeschła. Z boku stała kobiałka z jedzeniem i picciem, co by wskazywało, że zamierzał pracować tutaj dłuższy czas. Na zniszczonych rabatach pięknego niegdyś gazonu stały rozstawione sztalugi. Co jakiś czas Romanowski podnosił się z kłęczek, zdejmował rękawiczki, podchodził do sztalugi i wykonywał ołówkiem kilka kresek. Rysował pałac.

— Trzeba różnicować pracę — tłumaczył jednemu z robotników, stojącemu z kilofem przed sztalugami. — Gdyż przy jednej pracy zbyt eksploatauje się jeden i ten sam zespół mięśni, podczas gdy inne zespoły mięśni nie robią prawie nic, powoduje to szybsze zmęczenie.

Z kobiałki wyjął mocno zniszczoną książkę i podał robotnikowi.

— Nauka o człowieku — przeczytał tamten głośno. — Podręcznik dla klasy...

Oddał książkę Romanowskiemu nie czytając nawet do końca tytułu. On zmierzzył go przeciągłym spojrzeniem i rzucił ją do kobiałki, po czym wrócił do obserwacji dziwnego mlecza. Żona podała mu rękawiczki, które nałożył nie odrywając oczu od przedmiotu obserwacji.

Wracając miałem przed oczyma tylko jeden obraz i w głowie jedną myśl. Moje małeństwo.

Po obiedzie żona wyniosła małą na świeże powietrze pod lipę. Dziadek usiadł z jednej strony, ja z drugiej. Droga przejechał kolorowy cygański wóz. On wołał do małej: ćwir, ćwir, ćwir, naśladowując wróbelka, a ja: gruchu, gruchu, niczym gołąbek. Gdy dziadek wołał: ko, ko, ko, moja kureńko, to ja gduli, gduli, mój mały indorku. On trzymał w ręku zieloną grzechotkę i grzechotał jej co chwilę a ja niebieskiego, gumowego kotka i z równie dużą częstotliwością robiłem nim, pisku, pisku, pisku. Widziałem jak Józef Cieśla stanął na drodze, przechylił się przez płot i przyglądał mi się uważnie. Niech sobie patrzy, niech sobie z tego nie robiłem.

\* Opowiadanie uzyskało II nagrodę na Konkursie im. T. Micińskiego w Łodzi w 1990 r.

# KSIĄŻKI

## Przejrzeć się w opowieści

Paul Scott

*Ci, co pozostali*

Thum.: Magda Iwińska i Piotr Paszkiewicz

PIW, Warszawa 1992.

**C**i co pozostali Paula Scotta to swoiste postscriptum do znanego polskiemu odbiorcy *Kwartetu angloindyjskiego*. (Wszystkie części tej tetralogii opublikował w latach 1986–88 Państwowy Instytut Wydawniczy. Ponadto TV emitowała serial *Klejnot w koronie* będący filmową adaptacją *Kwartetu*.) Ta ostatnia z „indyjskich” powieści Scotta jest przez wielu ludzi uważana za najwybitniejszą jego książkę. Ukazała się w 1976 roku, otrzymała prestiżową nagrodę Booker Prize, a w końcu 1977 trzecie wydanie *Staying On* znowu znalazło się na liście bestsellerów zamieszczonej w „Sunday Times”. W 1979 angielska telewizja zrealizowała według tej powieści film z Celią Johnson i Trevorem Howardem w rolach głównych.

Wyjątkowo niefortunne wydaje się tłumaczenie tytułu powieści. Po pierwsze ze wzglę-

du na użycie „co” zamiast „który” dość popularne w mowie potocznej, lecz niedbałe i zgrzytliwie łączące zię z zaimkiem „ci”. Po drugie — czas przeszły jest nieco mylący. Para Anglików, Lucy i Tusker Smalley, będących bohaterami książki, niewątpliwie pozostała w Indiach po uzyskaniu przez nie niepodległości, jednakże tytuł oryginalny *Staying On*, zawiera w sobie element ciągłości i jest bardziej wieloznaczny. Chodzi tu chyba o pewien stan pozostawania, swoistego trwania w zawieszeniu. Jeżeli człowiek pozostaje gdzieś lub przy czymś, zatrzymuje się w jakimś punkcie. Nie porusza się. Nie dotyczy go nurt zdarzeń. Wieleś miejsc, w których mógłby się znajdować i wieleś ról, które mógłby odegrać, przestaje mieć z nim cokolwiek wspólnego. Pozostawać to najłatwiejszy wybór. Wybór zawsze tożsamy jest z rezyg-

nacją. Pozostawać to poprzestawać na tym, co się już ma. Pozostawać to wybór, z którym najtrudniej sobie poradzić, najtrudniej go znieść, gdy się go dokonało.

Czytelnicy Paula Scotta, którzy zetknęli się ze Smalleyami w *Wieżach milczenia*, pamiętają, że para ta nawet wówczas pozostawała — poza kręgami towarzyskimi, zainteresowaniem innych, rozgrywającymi się wydarzeniami. Lucy Smalley (znająca stenografię, więc użyteczna) pochodziła z niewłaściwej dla żony oficera, budowniczego imperium, sfery. Kiedy chciała prosić o głos, nieśmiało kasłała. Tusker, tkwiący po uszy w papierkowej robocie, trzymał się na uboczu i był dosyć pogardliwie traktowany. Również w przeszłości (co pokazują zarówno wspomnienia bohaterów *Staying On* jak i fragmenty *Wież milczenia*) Smalleyowie znajdowali się jakby na zewnątrz, będąc raczej obserwatorami niż uczestnikami zdarzeń. Bohaterowie tej, przesyconej lekko groteskowym humorem, książki żyją nie tylko poza krajem rodzinnym. Istnieją poza historią, w której odegrali swoje skromne role. Ich życie dobiega końca. Stanowią relikwiny przeszłości. Żyją razem, lecz nie rozumieją się. Kochają się po swojemu, są do siebie przywiązani, ale pozostają sobie obcy, niezdołni się porozumieć. Siebie i swoje życie postrzegają z pewnego oddalenia. I w tym momencie sytuacja ich zaczyna przypominać stan świadomości pisarza taki, jakim widział go Paul Scott. Dla Scotta pisarz zawsze był kimś, kto patrzy z zewnątrz; w gruncie rzeczy niezależnie od tego, czy obserwuje i opisuje świat czy własne wnętrze — przy czym, być może, rozróżnienie to nie ma wielkiego znaczenia.

W twórczości Paula Scotta znamienne rolę odgrywały kobiety. Wystarczy tu wspomnieć choćby takie postacie jak Edwina Crane, Daphne Manners, Barbie Batchelor czy Sara Layton (z Sarą Layton czytelnik spotyka się ponownie na kartach *Staying On*). Nie chodzi tu jedynie o uczestnictwo w wydarzeniach czy ich inicjowanie; kobiety są świadkami rozgrywających się historii i osobami próbującymi je ogarnąć i zrozumieć. Znowu fun-

kcja ta zbiega się z rolą, jaką często pełni pisarz. Można z tego punktu widzenia spojrzeć na wewnętrzne monologi Lucy Smalley, konstruowane jako przemowy wygłaszane do konkretnego, choć nieznanego człowieka — pana Turnera, oczekiwanego gościa, zbierającego materiały do pracy doktorskiej z historii, chcącego porozmawiać z Brytyjczykami, którzy pozostali w Indiach. Przejazd pana Turnera zostaje zapowiedziany, lecz w książce nie dochodzi do niego. Spodziewana wizyta staje się dla Lucy pretekstem dla dokonania swoistego przeglądu własnego życia, którego epizody są ponownie przeżywane w wyobraźni i niemal równocześnie komentowane z oddalenia.

Odbiorca poznaje także część świata współczesnych Indii (właściwa akcja rozgrywa się w 1972 roku) istniejącą wokół, a raczej obok, pary Smalleyów. Kapitalnie odmalowane są postacie służącego, Ibrahima i małego, Józefa, ogarniętego miłością do wszystkich, co rośnie. Małżeństwo Bhulabhoj stanowi przeciwagę, a zarazem specyficzne dopełnienie stadła Smalleyów. I, rzecz znamienita, o ile w wypadku pary Brytyjczyków czytelnik styka się z monologami wewnętrznymi Lucy, postrzegając Tuskerę głównie z jej punktu widzenia, o tyle, gdy mowa o drugiej parze, sytuacja ulega odwróceniu. Panią Bhulabhoj ukazuje autor w działaniu, a pana Bhulabhoj poprzez jego myśli. Pan Bhulabhoj i Lucy Smalley to w świecie, w którym żyją, postacie pozornie drugoplanowe, funkcjonujące poza istotnymi zdarzeniami.

Jak zwykle w pisarstwie Paula Scotta granice pomiędzy opowieścią a przypowieścią stają się niekiedy płynne. Opowiadana w *Ci, co pozostali* historia o samotności i związkach między ludźmi, braku zrozumienia i wzajemnym uczuciu, ma także wymiar uniwersalny. W swoim ostatnim utworze *After the Funeral* (będącym wersją bajki o Kopciuszku), Scott napisał: *Opowieść jest jak zwierciadło, w którym zobaczysz siebie, jeśli patrzysz wystarczająco długo.*

Justyna Zarzycka

## KSIĄŻKI NADESŁANE

Państwowy Instytut Wydawniczy

ALEKSANDER FREDRO: *ZEMSTA. ŚLUBY PANIEŃSKIE*, Warszawa 1993.

W serii LEKTURY wydano dwie najpopularniejsze komedie Fredry, które na okładce rekomenduje Kazimierz Wyka, a tekst oparto na *Pismach wszystkich* w opracowaniu Stanisława Pignonia.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI: *PEERELIADA*, Warszawa 1993.

Wybitnego literaturoznawcę od pewnego czasu interesuje język propagandy komunistycznej. Dał już temu wyraz wcześniej w *Marcowym gadaniu*. Obecna książka, nosząca podtytuł *Komentarze do słów 1976–1981*, jest kontynuacją tego frapującego wątku w twórczości Michała Głowińskiego.

JAN LECHOŃ: *DZIENNIK. TOM 3: 1 STYCZANIA 1953 — 30 MAJA 1956*, Warszawa 1993.

Tom trzeci wieńczy monumentalną edycję *Dzienników* wybitnego poety. Pierwsze wydanie *Dzienników* ukazało się w roku 1973 w Londynie nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. W kraju można je było wydać dopiero po roku 1989, ale ze względów finansowych trzeba było zrezygnować z wydania krytycznego. Pisz o tym w *Nocie edytorskiej* Roman Loth, autor *Wstępu* zamieszczonego w tomie pierwszym.

MIRCEA ELIADE: *SACRUM. MIT. HISTORIA*, Warszawa 1993.

W kontynuowanej nadal serii Biblioteki Myśli Współczesnej ukazało się trzecie już wydanie wyboru esejów jednego z najbardziej popularnych humanistów naszego stulecia. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Marcin Czerwiński, a przełożyła Anna Tatarkiewicz.

PIOTR WIERZBIKI: *ŻYCIE Z MUZYKĄ*, Warszawa 1993.

Zbiór esejów publicysty znanego czytelnikom prasy raczej z jego temperamentu politycznego. Ta książka jest bardzo osobista, opowiada o fascynacji autora muzyką.

Inne

OGRÓD RÓŻANY. *Antologia poetycka IV Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich. Brzeg 1–3.10.1993*, Wydawnictwo „ASTRUM”, Wrocław 1993.

Bibliofilska antologia wierszy uczestników tej udanej imprezy (piszemy o niej w „Variach”), zawierająca m.in. utwory Marianny Bocian, Tadeusza Kijonki, Janusza Stycznia, Roberta Gawłowskiego, Bogusława Żurakowskiego, Wilhelma Przeczka, Ireny Wyczółkowskiej i in.

ADRIANA SZYMAŃSKA: *KAMIEŃ PRZYDROŻNY*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993.

Świetny tom wierszy, porównywalny z wcześniejszą *Nagłą wiecznością* tej autorki czy z *Czułością* Julii Hartwig. O wierszach poetki z Warszawy tak pisze Zbigniew Herbert: „Wiem tyle, że jest to świetny, dojrzały, soczysty i gorzki owoc. Poezja czuła i okrutna zarazem”.

DOROTA KOMAN: *CHCĘ BYĆ ŻABĄ*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1993.

Drugi, po zauważonym przez nas parę miesięcy temu zbiorze *Freud by się uśmieł*, tom poetki z Łodzi, rekomendowany m.in. przez Leonarda Neugera i Wojciecha Ligęzę, który tak poleca najnowszą książkę poetki i kompozytorki: „Jest w tych lirykach paradoks: poetka tak bardzo dystansuje się do poważnych doświadczeń naszej egzystencji, tak bardzo zabawowo pragnie potraktować swoje przeżycia i dramaty — rodzinne i nierodzinne — że w pewnym momencie

pojawia się autentyczny smutek. Można by też powiedzieć: refleksyjna wesołość”.

MARIAN KISIEL: *GDY STOJĘ TAK NIERUCHOMO*, Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1993.

Trzeci tom wierszy poety i krytyka-literaturoznawcy z Katowic.

MIECZYSLAW MACHNICKI: *WIERSZ PO LATACH*, Wydawnictwo ORFEU, Warszawa 1993.

Wybór wierszy z lat 1978–1992 znanego poety i dziennikarza z Warszawy.

LONDYN — TORONTO — VANCOUVER, Stowarzyszenie Literackie KRESY, Lublin 1993.

Piąty tom wydany przez Bibliotekę kwartalnika „Kresy” zawiera dwanaście rozmów z pisarzami emigracyjnymi. Całość opracował i wstępem opatrzył Andrzej Niewiadomski (część z tych rozmów drukowaliśmy w skróconych wersjach na łamach „Dekady”).

PAWEŁ MARCINKIEWICZ: *ZAWIERAM Z TOBĄ PRZYMIERZE*, inter esse, Kraków 1993.

Trzeci tomik młodego autora (wcześniejsze: *Zostaw noc niech płynie*, 1989; *Uciekaj Macinkiewicz, uciekaj*, 1990). Od wierszy bliskich poezji pop autor przechodzi teraz do skomplikowanej gry, tworząc utwory pełne aluzji literackich, stylizacji i autoironii.

ROMAN BRANDSTAETTER: *JA JESTEM ŻYD Z «WESELA»*, Wydawnictwo Baran i Szczyński, Kraków 1993.

Popularny utwór R. Brandstaettera (1906–1987) o Hirszu Singerze, pierwowzoru Żyda z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, ukazuje się teraz wzbogacony o komentarze krytyczne oraz nie publikowane dotąd fotografie Józefy Singer („Rachel”), jej listy, wspomnienia o niej Heleny Rydlowej.

KINGSLEY AMIS: *LIGA WALKI ZE ŚMIERCIA*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1993.

*Liga...* to znakomity thriller, który pod pretekstem opowieści o szpiegach usiłuje przekazać pewne koncepcje filozoficzne na temat religii i istoty rzeczywistości. Książka jednego z największych współczesnych pisarzy angielskich, autora m.in. *Zielonego Człowieka* i *Alternacji* — przekład Przemysława Znanieckiego.

RICHARD WOODS OP.: *O MIŁOŚCI, KTÓRA NIE ŚMIAŁA WYMAWIAĆ SWOJEGO IMIENIA*, przeł. Jerzy Jaworski, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1993.

Dominikanin, ojciec Richard Woods jest profesorem na Loyola University w Chicago i wieloletnim kapelanem amerykańskiego oddziału katolickiej organizacji „Dignity” („Godność”) zajmującej się działaniem na rzecz akceptacji homoseksualizmu przez Kościół. Książka Woodsa przynosi wnikliwą refleksję nad obserwowaną we współczesnym świecie sytuacją lesbijek i gejów, zwłaszcza chrześcijan wyznania rzymskokatolickiego.

Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego ogłasza ogólnopolski III Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego

Prosimy o nadesłanie zestawu 5 wierszy o objętości łącznej do 100 wersów. Zestaw — 3 egzemplarze maszynopisu — winien być oznaczony godłem. Do zestawu należy dołączyć zaklejoną kopertę, oznaczoną tym samym godłem, w której będzie imię, nazwisko oraz adres autora. Warunkiem wzięcia udziału w Konkursie jest także przesłanie odcinka dowodu wpłaty 50 tys. zł na konto Stowarzyszenia: PBG I Oddz. Łódź 344609-3809.

Prace prosimy przesyłać do 15 XII 93 na adres: Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódzki Dom Kultury, ul. Traugutta 18, 90-112 Łódź. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi 23 stycznia 1994 roku.

Nie zwracamy przesłanych materiałów.

**T**ytułowe zestawienie może wydawać się ryzykowne. Bo cóż takiego mają ze sobą wspólnego Starsi Panowie i angielska grupa komików zawodowo zajmująca się szarganiem świętości? Pewnie nie tak znowu wiele. Ale wydaje mi się, że takie zestawienie jest jednak interesujące, a przy tym wcale nie tak bezsensowne, jakby mogło się na pierwszy rzut oka zdawać.

Na pewno jest jedna cecha, która obie te grupy łączy — wykształcenie. Starsi Panowie i Pythony są dziećmi Starego Kontynentu. Znają tego samego Michała Anioła, króla Artura i tych samych Greków. Oxford i Cambridge — dla Pythonów w sensie jak najbardziej dosłownym — są ich wspólną kolebką. I żeby dobrze bawić się ich dowcipami trzeba samemu wiedzieć cokolwiek o tymże Michale

## STARSI

Aniele, pewnym Stole i kilku Grekach. Można naturalnie próbować ich kochać i bez tego. Ale byłaby to miłość nieco ułomna.

I na tym — przynajmniej na razie — zamknęlibyśmy listę podobieństw.

Gdyby spróbować znaleźć parę słów, żeby nazwać te dwa światy, to prawdopodobnie jednym z pierwszych pomysłów byłoby przeciwstawienie: ład — chaos. U Pythonów nic z niczym się nie zgadza — w Jerozolimie czasów Chrystusa dochodzi do katastrofy statku kosmitów, sir Lancelota aresztuje angielska, jak najbardziej współczesna policja, a dystyngowani angielscy oficerowie rozważają spokojnie, czy to, co odgrzyzło jednemu z nich nogę, przypadkiem nie było komatem. Odbywa się na naszych oczach nieustanne wrowanie konwencji — przegląd dorobku kultury od najwyższej do najbardziej bulwarowej. U Starszych Panów — przeciwnie — wszystko pasuje do wszystkiego. Wygląda tak jakby znajdowało się w jednym właściwym, przeznaczonym mu od wieków miejscu.

Świat Starszych Panów jest oswojony i uporządkowany. Gdyby mnie spytano, za co kochamy ten uroczy tandem, odpowiedziałabym, że za ofiarowane nam poczucie bezpieczeństwa. To dziwne, bo życie w „Kabarecie” wcale nie jest idealne. Julia nie spotyka swojego Romea, ginie natomiast w ramionach nierozgarniętego Dzikka. Staruszków — jeśli tylko są czysci — można użyć „do wszystkiego”. Ciepłe wdówki są do wzięcia — jeśli tylko „pan umie owdowić”. Tanie dranie gotowi są do usuwania „zbędnych pań”. W „nadzianego” wuja radzi się młodzieńcom celować z dubeltówki. Tym, co porządkuje ten cokolwiek smutny świat, co nadaje mu urok, jest kultura. Kultura pojmowana jako pewien zasób książek, obrazów i muzyki, ale także jako towarzyska ogląda, a przede wszystkim — jako umiar. Tę podstawową zasadę respektują wszyscy bez wyjątku. To gwarantuje stabilność tego świata, który — w przeciwieństwie do naszego — nie przeżywa gwałtownych burz. Mamy przed sobą zbiór porcelanowych figurek — figurek niezwykle uroczych. Każda jest łagodną karykaturą, więc różnią się nieco od siebie. Nie mamy jednak wątpliwości, że Tani Drań, Ciepła Wdówka, Julia czy Erotolog pochodzą z jednego serwisu. A z ich uczuciami jest tak jak w bajce o „Kominarczyku i Pastereczce”... Jeśli jest miłość, to nieduża, co to nie tylko „do wielkich grzechów nie zmusza”, ale nawet „nie pretenduje do ręki”. Ba! Jeśli grozi uczucie zbyt silne, doradza się „kochać nieindywidualnie”. Nawet „tamten świat” jest z takiej samej porcelany — pełen uroczych, melancholijnych duchów.

Starsi Panowie w ogóle wydali walkę tragiczności. Ciekawe są tu przeróbki *Balladyny* czy *Medei* — ani śladu „grozy”, „majestatu” i Tym Podobnych Rzeczy. Doskonale skuteczna obrona przed światem.

Kepiński pisał w *Lęku*: „Komunikowanie się z innymi ludźmi (...) wyłącznie uczuciowo — nastrojowe, byłoby źródłem niezwykłego napięcia emocjonalnego, gdyż drugi człowiek byłby zawsze niezgłębioną tajemnicą, mieściłaby się w nim nieskończoność”. Przed takim stanem rzeczy możemy się jednak — i musimy — bronić. Naszą „warstwą ochronną” jest maska. Im jesteśmy starsi, tym lepiej radzimy sobie z coraz większą ilością masek. I to byłaby odpowiedź na pytanie: „dlaczego Panowie — Starsi?”

Pythony postrzegają kulturę także jako

zbiór masek, form i konwencji. Nie widzą w tym jednak ani ładu, ani ratunku dla siebie. Jeszcze w ich pierwszym filmie — *Monty Python i Święty Graal* — kulturowy śmietnik traktowany jest po prostu jak doskonała zabawa. A sposób potraktowania głównych bohaterów jest nawet zbliżony do *Balladyny* Starszych Panów. (Choć naturalnie nie ma tu mowy o jakimkolwiek porządku...) Nawet przesłanie można by sformułować dla obu dzieł podobnie: „Ludzie! Nie przejmujcie się tak bardzo!”, lub dźwięczniej: „Take it easy!”

Sytuacja zmienia się jednak w *Jabberwocky*. Mamy tu wprawdzie historię opowiedzianą jak Pan Bóg przykazał — chronologicznie i z zachowaniem nawet pewnej dyscypliny formalnej, ale mamy też nowego bohatera. Bohatera, który nie podlega ośmieszeniu. Większy prostaczek Denis Cooper jest bohaterem prawie w skali 1:1.

Takimi są też naturalnie Starsi Panowie w *Swoim Świecie*. Istnieją oni jednak w doskonałej symbiozie ze wszystkim, co ich otacza.

## PANOWIE i MONTY

Uwag kilka niekoniecznie ściśle ze sobą związanych

Harmonizują z każdą nową postacią. Umieją się znaleźć w każdej sytuacji. Każdym swoim nienagańnym gestem potwierdzają świat, w którym się poruszają. Tak było też z Rycerzami Okrągłego Stołu w *Świętym Graalu*. Świat był wprawdzie dosyć nieporządkowany, ale żadna z postaci nie miała nic przeciwko temu.

Tymczasem Denis w *Jabberwocky* swojej przestrzeni nie rozumie. W zdumiewający — przede wszystkim dla niego — sposób zostaje jednak wpasowany w całość. Robi to, co należy do wiejskich prostaczków — zabija smoka i żeni się z królową. Tylko, że on wcale tego nie chce! Denis jest zakochany w grubej, tępej i złej Gryzeldzie i to z nią chce się żenić — do ostatniej sceny filmu.

I tak w chaos, śmietnik, bałagan — czy jak to jeszcze nazwiemy — ale bałagan, który był pewną całością opartą na założeniu, że nikt niczemu się nie dziwi, wkroczył ktoś, kto NIE ROZUMIE. Jego „NIE ROZUMIEM” staje się wyzwaniem rzuconym chaosowi.

Jeszcze gorzej sprawy się mają w *Żywocie Briana wg Monty Pythona*. To historia człowieka, który urodził się w domu sąsiadującym z Chrystusową stajenką. Jego losy nieustannie splatają się z losami Jezusa. Zakochany w dziewczynie z żydowskiego ruchu oporu — Ludowego Frontu Judei (nie mylić z Judejskim Frontem Ludowym!), schwytyany przez Rzymian w pałacu Piłata, ratuje się udając proroka. I ucieka znowu — tym razem przed tłumem wyznawców. Znowu jest w niewoli u Rzymian,

by w końcu — przez przypadek — zostać ukrzyżowany. I nie ma w tym zdumiewającym filmie sceny, która nie byłaby śmieszna. Piętrzą się coraz bardziej absurdalne pomysły. *Żywot...* jest zlepkiem gagów, pomieszaniem konwencji i epok. A sam Brian jest podobny do Denisa. Jest kolejnym „Wielkim Zdziwionym”. Brian stawia swoje zdziwienie przeciw światu. Wcale nie chce być „przeciw”. Stara się pojąć zasady i postępować zgodnie z nimi. Ale, mimo wciąż ponawianych wysiłków, przegrywa. Staje wobec nowej sytuacji, której zrozumieć nie może. Zdarzają się tacy urodzeni outsiderzy...

Pythony powołując do życia Briana opowiedzieli się po stronie wszystkich, którzy głosili, że człowiek ma prawo być wolny. Prawo to pojmują jako prawo do bycia sobą. Brian mówi do zgromadzonego pod oknami tłum: „Wszyscy jesteście indywidualistami!”. I ponosi sromotną klęskę, słysząc w odpowiedzi zwielokrotnione: „Wszyscy jesteśmy indywidualistami!”

Brian wybrał Rachelę — wybrać z tego śmietnika coś, co ma większą wartość niż wszystko pozostałe. To prawda, że nic z tych wyborów nikomu nie przyjdzie..., choć może nie tak zupełnie nic...?

Świat, w którym żyją bohaterowie Pythonów, jest niepoważny. Najlepszym przykładem na to jest nowela *Śmierć z Sensu życia*. Zagadani nad kolacją goście nie rozpoznają w zakapturzonym przybyszu własnej śmierci. Żniwiarz przybywa majestatycznie i tajemniczo. Niestety, pozwala się ludziom wyprowadzić z równowagi i wdaje się w idiotyczny z nimi spór. I przemawia do nich mniej więcej tak: „Zamknijcie się, wy, Amerykanie! Bez przerwy gadacie i gadacie. Wy, Anglicy, jesteście tacy, kurwa, pompacyzmi!”. Po czym zebrał umierają i radośnie udają się do — jak

## PYTHON

napisał jeden z krytyków — „bożonarodzeniowej rewii” — nieba. Śmierć rzeczywiście odartą z wszelkiej powagi. Podobnie jak „cud narodzin” czy „jesień życia”. Jednak to nie Pythony dokonali tego. Oni tylko stwierdzają fakt, przyznając sobie prawo do zdumienia. Za dużo pasji jest w *Sensie życia*, żeby uznać go tylko za doskonałą zabawę. Za dużo — poważnego całkiem — zdziwienia w twarzach Denisa czy Briana... Myślę, że Pythony chcą nam powiedzieć coś w tym rodzaju: „Dajcie spokój, kochani. Dajcie spokój naszym maszynom, które robią „pim”, i naszym kolacjom z lososiem. Po nie umiecie już dostrzec rzeczy najprostszych — że rodzicie się i umieracie. Przecież takich rzeczy nie można dostrzec w ścisłości...”

Więc gdyby jeszcze raz zastanowić się nad parą słów-kluczy do tych dwóch światów, to może po stronie Starszych Panów znalazłoby się słowo „sen”, a po stronie angielskich bluźnierców słowo „bezsensowność”. I jedno i drugie bardzo nam potrzebne...

Nie ma w tym tekście naturalnie wielu istotnych spraw. Nie zastanawiałam się nad tym choćby, że „Kabaret” był reakcją na absurd i wszechogarniającą brzydotę świata kolejnych socjalizmów, a Pythony — na skamieliny zasad i wartości starej Anglii. Nie zastanawiałam się nad możliwym „tragiczno-polskim” rodowodem anty-tragiczności Starszych Panów. Nie starałam się pokazać estetyki cytatu czy pastyszu obecnych i u jednych i u drugich. Nie wspominałam też o rzeczy oczywistej i absolutnie podstawowej — o tym, że jedni i drudzy wspaniale, cudownie umiejają BAWIĆ...

A to chyba w końcu najważniejsze. Bo — niezależnie od wszystkiego — jak mówi narrator w *Świętym Graalu* — „it gave a lot of fun” — „było wiele radości”.

Edyta Biernacka

## WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE

### polecają:

José M. Parramón RYSUNEK ARTYSTYCZNY

Książka dla uczniów liceów plastycznych, studentów i nauczycieli wyższych szkół plastycznych i akademii sztuk pięknych, a także dla artystów i amatorów. Hiszpański malarz i nauczyciel odkrywa przed Czytelnikami techniki rysunku, dzieli się ze swą wiedzą praktyczną i umiejętnościami. José M. Parramón uczy także podstaw rysunku pokazując proces wykonywania rysunku od wstępnego szkicu po skończone dzieło sztuki.

400 ilustracji wybitnych artystów to dodatkowy walor książki.

José M. Parramón, Munts Calbo

PERSPEKTYWA W RYSUNKU I W MALARSTWIE

Autorzy przedstawiają zarys podstawowych prawideł perspektywy w aspekcie historycznym, posługując się przykładami dzieł twórców, którzy wnieśli znaczący wkład w rozwój perspektywy (Euklides, Witruwiusz, Brunelleschi, Alberti, Uccello, Leonardo, Dürer, Canaletto).

Zagadnienia praktycznego zastosowania perspektywy ilustrowane są schematami, rysunkami oraz dziełami malarskimi wybitnych artystów.

Zapraszamy do księgarń firmowych w Warszawie, ul. Kredytowa 9; „Szkolna”; tel. 26-54-51 w. 180; „Oświata”, tel. 26-75-70 oraz pl. Dąbrowskiego 8, tel. 26-75-70; a w Krakowie do „Księgarni Literackiej”, ul. Sławkowska 11, tel. 22-47-73.

Dział Sprzedaży Hurtowej WSiP, Warszawa, ul. Grochowska 21, tel. 610-69-06, tel./fax 610-67-95  
Dział Handlowy WSiP, Warszawa, ul. Pankiewicza 3, tel. 21-26-39





## Hrabal o sobie i beatnikach

Fragmety wywiadu-rzeki prowadzonego przez dziennikarza węgierskiego László Szigetiego. Książka ukazała się w r. 1990 pt.: *Kličky na kapesniku...*

**BOHUMIL HRABAL.** Ja żyję tylko w gospodach. Ja, jeśli wejdę do kawiarni czy do restauracji, to tylko przez omyłkę. Zobaczy mnie pan stojącego się tylko na przedmieściu. Chodzę na Harfę, do „Bratysławy”, to taka robotnicza gospoda naprzeciwko Harfy, wstępuję tam na obiad. Całe życie spędziłem w browarze, i zawsze w izbie czeladnej. Kiedy chodziłem w Nymburku do gospody, to najchętniej do zwyczajnych ludowych knajp małomiasteczkowych. Jestem małowieszczaninem, nie drobniomieszczaninem — to pejoratywne określenie. Na Libni, zobaczy pan tam gospody, w których się czułem szczęśliwy, ale właśnie w tych gospodach z Egonem Bondym, z Vladimirem i z innymi wiedziliśmy zawsze rozmowy... Oczywiście o sztuce, o futbolu również, mówiliśmy o ludziach, albo naśmiewaliśmy się z nich bez opamiętania, ale kiedy byliśmy sami, to rozmawialiśmy zawsze o tym, co jest istotą surrealizmu, kto to jest Dostojewski, co jest istotą egzystencjalizmu. Wybieraliśmy te problemy, które były na świecie i dotyczyły literatury, i myślenia, i polityki, a rozmowy wiedziliśmy właśnie tu — na dole.

... — Kiedy przyjechałem do Pragi, to chodziłem do pana Jiřego Kolářa. Chodziliśmy do niego, ja i Milan Hendrych, ponieważ on już był poetą, już wydał kilka książek, a my jeszcze nie. Czytaliśmy mu nasze teksty, które napisaliśmy, a on je komentował, czy są dobre czy złe. A przede wszystkim mówił nam o tym, co się dzieje na świecie. Pożyczał nam przekłady Zdeňka Urbánka, pisane na maszynie, tak że w latach pięćdziesiątych dowiedziałem się, kto to jest Hemingway jako nowelista, kto Faulkner, kto Ring Lardner, jego opowiadania sportowe wywarły na mnie wielki wpływ. Byłem bogatszy o przekłady opowiadań. W sumie chodziliśmy tam przez kilka lat, żeby samemu też kiedyś zabłysnąć.

**László Szietegi** — A potem przyłączył się pan do jakiejś grupy literackiej? Był pan członkiem...

**B.H.** — Nie! Nigdy nie byłem. Nie potrafię myśleć à la thése.

**L.S.** — Myślę też, że nie ma pan zbyt wielu przyjaciół wśród pisarzy.

**B.H.** — Nie. Spotykam pisarzy tylko wtedy, gdy nie mogę tego uniknąć, ale poza tym nie wiem, dlaczego pisarz miałby się przyjaźnić z pisarzem, o ile razem jakoś nie dorastali czy nie tworzyli grupy, która wydaje jakieś pismo. Tego nie mieliśmy.

**L.S.** — Teraz też nie?

**B.H.** — Nie, tak chyba jest lepiej...

**L.S.** — A czyta pan rękopisy młodych, tak jak te pańskie czytał Jiři Kolář?

**B.H.** — Nie. Jeśli mi je dają, to bardzo szybko im zwracam, że nie mam na to czasu albo że... no, nie czytam. ...

**L.S.** — O to, czy należy pan lub należał do jakiejś grupy literackiej, pytałem pana dlatego, że na fali literatury beatowej powstało trochę grup.

**B.H.** — Tak. Taki Kerouac czy Ginsberg z pewnością zapłodnili naszą generację z tych moich lat. Jestem zafascynowany Kerouakiem i Ginsbergiem, nawet tym Ferlinghettim, w ogóle wszystkimi, którzy nawiązali do tak zwanych „dharmańskich” wólców, którzy wyczuli bardzo dobrze, że pisarz powinien być tak biedny, jak to tylko możliwe, najprostszy i jak najbardziej na dnie, żeby mógł spoglądać do góry. Powinien też być wykształcony i mieć, i to jest aprioryczne, zamiłowanie do mądrości Wschodu. Mówiliśmy o buddyzmie-zen, mówiliśmy o Upaniszadach, mówiliśmy o Lao-cy i to wszystko ci chłopcy, o których mówię, ta grupa beatników, ci „dharmańscy wólczy”. Niektórzy odwiedzili Tybet, ale nie to było decydujące, że tam byli, ale przede wszystkim, że wyciągnęli z tego praktyczne wnioski i byli tymi, którymi byli. Byłem z nimi w grupie na odległość.

**L.S.** — A potrafili nie tylko krzyknąć, ale i pisać.

**B.H.** — Pewnie, że tak. Wszystko, co opublikowano w piśmie „Světová Literatura” czy w wydaniach książkowych, Kerouaca *Kraj koleí*, nawet to *On the road — W drodze*, to wszystko uważam za literaturę pisaną przez młodego człowieka. I można powiedzieć, że choćby ten *Strażnik ognia*, jedno z opowiadań Kerouaca, jest niedoścignięte piękne. Jedno z najpiękniejszych opowiadań na świecie, że aż zapiera człowieka dech. Ginsberg był tutaj, w Pradze. Rozmawiałem z nim na Hanzlberku, to taki opuszczony dom w Pradze, który zajęła grupa młodych ludzi gdzie w roku 1965 i spotykali się tam malarze i poeci i tancerze Turba, Boris Hybner, fotograf Ahasver, i on był ich gościem. Mam wrażenie, że w roku 1968, w maju, był w Pradze studentki pochodzący z korowód majowy i wieźli na wozie Ginsberga w białych tenisówkach i został obwołany królem tego korowodu, brodaty, kłaniał się, a ja go potem na drugi dzień zastałem w tym Hanzlberku, gdzie był gościem Borisa Hybnera i Turby i Ahasvera, tego fotografa i tych kilkudziesięciu ludzi, którzy tam żyli. Beatnicy — to była generacja, która mnie oszołomiła, można powiedzieć, że rozpałała całą młodą Pragę. Naraz pojawiła się tu grupa ludzi, którzy to, co mówili, wcielali w życie. Grupa wólców, tych apatycznych aniołów, bo i tak siebie nazywali, którzy ryzykowali własne życie, mieli tam swojego bohatera Moriarty'ego. To była figura. Nie wiem, czy jeszcze żyje, ale wtedy żył. Kerouac nie żyje. Ten Moriarty, przyłączyło się do niego tylu ludzi, to jedna z głównych postaci, która pojawia się w tym *On the road*. Bezustannie gdzieś jeździ po całym kontynencie, z San Francisco do Nowego Jorku i z powrotem, i wciąż w ekstazie, wciąż w euforii.

**L.S.** — Jeżeli fascynował pana ich sposób myślenia, to chyba mógłby mi pan powiedzieć, na czym się opierał?

**B.H.** — To, co przeczytałem, temu wierzyłem, że było naprawdę przeżyte. Że nie było różnicy między życiem poety i postacią, o której pisał, że były identyczne. Czyli im wierzyłem. Było w tym coś religijnego, że życie jest w rzeczywistości fascynacją, która jednak kieruje się zawsze, przynajmniej minimalnie, gdzieś do transcendentu. To, co przekracza realność, jest siłą napędową, gdzieś na horyzoncie. To jest ta droga, życie jako takie. To znowu nawiązuje do Lao-cy i jego książki o tao, a tao to droga. Ale Lao-cy, który to napisał, jest starcem. A Kerouac napisał *On the road* jako młody człowiek. A przede wszystkim podziwiałem to, że pisał zawsze w strumieniu. Strumieniu myśli. *On the road* napisał w bardzo krótkim czasie. Jak miech kowalski, wdech, wydech.

**L.S.** — A o czym rozmawiał pan z Ginsbergiem?

**B.H.** — Zupełnie nie znam angielskiego i na-

wet mam wrażenie, że on w ogóle z nikim nie rozmawiał. Kłaniał się, ale tłumacza nie miał. My nie musieliśmy rozmawiać. Psy też nie muszą rozmawiać. On się kłaniał mi, ja się kłaniałem jemu, kłaniał się wszystkim, piło się, grała jakaś muzyka, grało się na gitarze. Tak że było właściwie jak w zbyt głośnej gospodzie, kiedy nie można mówić, nie można przekrzyknąć hałasu. Tam zawsze był potworny hałas. No i Boris Hybner, jeden z najlepszych tancerzy Europy, jest nim i teraz. Proszę bardzo — wczoraj tańczył w Pradze. To europejska klasa — Boris Hybner. No i Turba, ten wyklada gdzieś w Szwajcarii. Ale kiedy był tutaj Ginsberg, to oni tańczyli i popisywali się na tym Hanzlberku. Dlatego Ginsberg czuł się tutaj jak u siebie w domu, z tymi swoimi wariatami. Na Hanzlberku czuł się zupełnie tak samo, zupełnie jak w domu. Omnia ubique. ...

**L.S.** — Jakże jeszcze ma pan doznania związane ze sztuką beatników?

**B.H.** — Żadne, tyle mi wystarczy. Wystarczy mi *Strażnik ognia* i estetyka, która wyszła gdzieś w roku 1966-67 w piśmie „Světová Literatura”. O beatnikach publiczność została poinformowana bodajże na czterystu stronach i to mi w zupełności wystarczy. Wystarczy mi fotografie, jak wyglądał Kerouac. Mnie zawsze wystarczają fotografie. Ginsberga widziałem żywego, czytałem trochę jego wierszy i po prostu uwierzyłem mu. Ale nie spodziewałem się, że Kerouac tak stosunkowo młodo umrze. Tutaj taką beatową społecznością był Hanzlberk. Na Hanzlberku żyło się tak, jak żyli beatnicy. Tam, gdzie mieszkalem na Libni, w tych latach pięćdziesiątych, tam też się tak żyło. Był tam Vladimir Boudnik, Egon Bondy, chodził tam Medek, Zbyšek Sekal, byli tam superseksdadaści, Jelenek. Żyło się właśnie takim życiem.

**L.S.** — Na grobli 24?

**B.H.** — Tak, tam w tym mieszkaniu. Gdzie nie zachodziło słońce...

**L.S.** — U pana?

**B.H.** — No pewnie. Żyli tam tak rok albo dwa, a nawet dłużej. Mieli takie swoje grupy, ci surrealiści, totalni realisti, superseksdadaści, to są lata pięćdziesiąte. Tak że to, co było w Ameryce, w Pradze moim zdaniem było już wcześniej... Z pewnością także w Budapeszcie czy w Krakowie, w Wiedniu, ale zawsze istotne jest, aby to miało publicity. To, co potrafią zrobić Amerykanie, żeby się coś stało wydarzeniem. Trzeba mieć swój program, swoją koncepcję, trzeba mieć swojego wydawcę, takiego, jakim był ten Ferlinghetti. No i wystarczyło pięć lat, ta grupa się, co prawda, potem rozeszła, ale wystarczyło pięć lat, żeby żyli razem, żeby wyrobili koneksje, żeby to nabrało własnego stylu. Jest to pewna reakcja na amerykańskie stosunki kulturalne i społeczne, które ci młodzi ludzie zrozumieli po swojemu i precyzyjnie ukazali. Dość już tego konsumpcyjnego społeczeństwa, dość już tych intelektualnych, oświeconych i oświatowych rozmów, paplaniny. Czyn, robić to. A teoria i filozofia jest nieodłączną częścią tego wszystkiego, po prostu współgra z, jak byśmy powiedzieli, totalną identycznością tych dwu przeciwieństw. Ducha i życia. U beatników to było jak zatrzaśki Koh-i-noor Waldes. Byli w tym identyczni.

**L.S.** — Najbardziej zajmowały ich problemy życia płciowego i medytacja, a jednocześnie mówili o tym, że nie chcą mieć z Ameryką nic wspólnego, choć przecież kochali Amerykę.

**B.H.** — No pewnie. Ta Ameryka, to Ameryka Whitmana. Ameryka beatników rozwija się w duchu whitmanowskim, zmierza do realistycznej mistyki... Mistycznej metody. ... Również Sandburg był ich ojcem duchowym. Carl August Sandburg, ten, który żył z gry na gitarze. Niech pan zwróci uwagę, że o polityce i władzy wyrażali się bardzo beceremonialnie. Po prostu mogli się tak wyrażać. Ja żyję w kraju, w którym jako lojalny obywatel w stosunku do przedstawicieli polityki muszę być uprzejmy i grzeczny, i to, co cesarskie, dać cesarzowi, a co egzystencjalne — sobie. Zatem występuję tu w roli obywatela, ale też jednocześnie w roli superobywatela, ponieważ poczuwam się do tego, że jestem także takim dzieckiem bożym. Człowiekiem, którego dotknął palec czegoś wyższego, co jest czymś więcej niż na przykład partia. Myślę, że nie jest to obce duchowi tych moich ulubieńców, choćby Serioży Jesienina i innych. Jestem malutkim Sokratesem, z wyjątkiem cykuty.

thum. Aleksander Kaczorowski

## CAMERA OBSCURA

Zygmunt Kałużyński („Polityka” nr 40) zastanawiając się, czy w w. XV naród polski a nawet dziejopisarze studiowali Ewangelię — powiada, że pierwszy jako taki poprawny jej przekład pochodzi z r. 1561. Autor ma tu na myśli tzw. Biblię Leopoldy. Ale już wcześniej ukazywały się przekłady Murzynowskiego (1551-1552) i tzw. Nowy Testament Szaffenbergera (1556) — oba zupełnie dobre. Co zaś do samych dziejopisów — wszyscy pisali po łacinie, po łacinie mogli więc też Nowy Testament przeczytać.

(hm)

Czy zauważyliście państwo, jaką karierę zrobiło dzięki telewizji słowo „puszysty”? Dawniej puszyste mogły być tylko włosy czy sierść zwierzęcia. Teraz w reklamach telewizyjnych mówi się o puszystym kremie i puszystym ryżu. A Danuta Rinn zachwała podobno także „puszyste” kobiety.

(hm)

Gigantyczny bryk do historii literatury polskiej ułożony przez Jana Tomkowskiego jest pomysły a miejscami nawet zabawny. O selekcję (np. Kruczkowski — nieobecny) i hierarchizację (*Faraon* zdegradowany w stosunku do *Emancypantek*) mógłbym się kłócić, ale oczywiście nie na tym miejscu. Tu tylko dwie pretensje: Tomkowski pisze na str. 25 „publikacja Psałterza Dawidów” — a przecież „Dawidów” to nie dopełniacz liczby mnogiej (skąd zresztą wzięłoby się kilku Dawidów), lecz dawny mianownik przymiotnika, którego dzisiejszym odpowiednikiem jest „Dawidowy”. Na str. 301 czytamy, że bohater *Jezióra Bodeńskiego* spędza lata wojny w Konstancy. Gdzie Rzym, gdzie Krym! Konstancja (Constanta) to miasto rumuńskie nad Morzem Czarnym. Nad Jeziorem Bodeńskim leży Konstancja (Konstanz). A trzecia pretensja już do Państwowego Instytutu Wydawniczego: bójcie się Boga, jak można wydawać książkę „dla uczniów, maturzystów i kandydatów na studia” (tak napisano na okładce) za 330 tysięcy zł! Trzeba było ją wydać skromniej, ale znacznie taniej!

(hm)

Bardzo zdziwiliśmy się znajdując w miesięczniku „Nauka i przyszłość” (nr 8) w artykule podpisanym nazwiskiem profesora filozofii wiadomość, że „universal” w łacinie znaczy „powszechny, wszechstronny”. Takiego słowa w łacinie nie ma; jest tylko „universalis”; „universal” to oczywiście słowo angielskie. Może to tylko błąd drukarski, ale przy dzisiejszym stanie znajomości łaciny...

(hm)

Tadeusz Nyczek („Gazeta Wyborcza” nr 235) przypomina, że to on jest autorem pojęcia „czarna dziura”, obiegowego już hasła dzisiejszego życia kulturalnego. Ale może należało dodać, że jest to metafora wzięta z języka współczesnej fizyki, gdzie oznacza ona „zamknięty, nie komunikujący się z otoczeniem obszar czasoprzestrzeni wokół supergęstego ciała lub punktu materialnego”, będący końcowym produktem ewolucji gwiazd...

(hm)

**DEKADA LITERACKA** — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. Adres redakcji: ul. Kanonicza 7. Redakcja: Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas (sekretarz redakcji). Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Waclaw Iwaniuk (Kanada), Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Jerzy Lohman, Leszek A. Moczulski, Maria Niemojowska (Londyn), Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. Skład i łamanie: ARTA WYDAWNICTWO, Kraków, Rynek Gł. 30, tel. (0-12) 22-95-98, 22-97-71, fax (0-12) 22-58-70. Druk: Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: kwartalna wynosi 55 000 zł, półroczna 110 000 zł, a roczna 220 000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$. Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3 ISSN 0867-4094

# Dramat dobroczyńcy

Teresa Walas

**P**odobno już jako dziecko odznaczałam się dobrym sercem, co rozczulało moich rodziców, ale też sprawiało im kłopot. Nie można było na przykład zaśpiewać w mojej obecności kolędy „Jezus malusienki”, gdyż natychmiast wybuchalam płaczem i żądałam stanowczo, by oddano zaraz nieznanemu mi jeszcze wtedy bliżej Jezusowi wszystkie moje sukienki łącznie z tą niebieską, haftowaną w różowe girlandki, którą w drugim roku życia zaliczałam do strojów szczególnie ulubionych. Nieco później odmawiałam chodzenia na plac po jarzyny, nie mogłam bowiem znieść widoku staruszek nadaremnie oferujących nam pietruszkę, szcaw, bób i fasolę. Męka moja osiągała swój zenit, gdy mama zaczynała się targować i dawała w końcu za garstkę szcawiu nie złotówkę, lecz pięćdziesiąt groszy. Ponieważ na ogół stawiała na swoim, powracałam do domu na wskroś przeniknięta wstydem i natychmiast traciłam apetyt sztucznie pobudzany za pomocą pitej przez rurkę pepsyny. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że urozona w którymś z państw dobrobytu i ulokowana w przyzwoitym miejscu jego społecznej hierarchii skończyłabym niechybnie na intelektualnej lewicy. Ale łaskawy los uchronił mnie od tego, rzucając na obszar realnego socjalizmu i sytuując materialnie zawsze poniżej średniej krajowej, co zawężało perspektywę filozoficzną i ograniczało pole filantropijnych działań. W ostatnich wszakże latach sytuacja uległa drastycznej zmianie i mój instynkt dobroczyńcy zaczął wchodzić w ostrą kolizję z instynktem samozachowawczym.

Rano wyszedłszy po pieczywo jak zwykle natknęłam się na rogu na rumuńską Cygankę z dwójką dzieci. Na widok ten uodparniałam się przez dwa lata ideologicznie i emocjonalnie, minęłam ją więc i weszłam do piekarni. Gdy płaciłam, dopadła mnie rumuńska dziewczynka zawodząc „daj pieniądze”. Zamiast jednak szarpać za rękaw i wyrywać banknoty zgodnie z obyczajem rumuńskiej diatwy, przytuliła się do mnie ze słodkim uśmiechem. Mój ideologiczny stelaż runął. „Nie dam ci pieniędzy — powiedziała surowo — bo twój tatuś wgapia się teraz na dworcu w kolorowy telewizor, a ciocie i wujkowie ukradli już wszystko, co się dało, ze schroniska dla bezdomnych; ale proszę — wybierz ciastko, na które masz ochotę”. W ostatniej sprawie porozumiałymy się bez kłopotu i dziewczynka wskazała babeczkę nadziewaną budyniem i zwieńczoną brzoskwinia — à 3.000. Gdy ekspedientka podawała babeczkę, spod ziemi wyrosły dwa inne Cyganiatka, którym nie umiałam odmówić prawa do dziecięcych radości. Kupiłam więc trzy babeczki, co w piekarni nie spotkało się z dobrym przyjęciem. „Ledwie się ich pozbyliśmy” — powiedziała z wyrzutem właścicielka piekarni inkasując 9.000. „Nie wyglądają na zagłodzone” — dorzucił ktoś z kolejki. „Trzeba zobaczyć, co jedzą nasze dzieci w domach dziecka” — dodała pani o wyglądzie nauczycielki. Gdy wymyślałam się z piekarni, Cyganiatka zbiorowo zlizywały budyn z papieru.

Mijając aptekę przypomniałam sobie o niezrealizowanej od trzech dni receptce i weszłam do środka. Wychodząc natknęłam się na starszą, schludnie wyglądającą niewiastę, która cichym głosem poprosiła mnie o pieniądze na wykupienie lekarstwa. „To lekarstwo jest na oczy — objaśniła rzeczowo — kosztuje przeszło sto tysięcy”. Nie mam przy sobie stu tysięcy — odparłam zgodnie z prawdą, choć nieco wykrętnie. „Proszę mi dać trochę, resztę dozbieram” — poszła na ustępstwa kobieta. Dałam jej banknot dziesięciotysięczny i wróciłam do domu z jadącym się poczuciem winy, znowu — jak z dzieciństwa — tracąc apetyt.

Gdy szłam do pracy, na ulicy Grodzkiej uderzył mnie widok młodej dziewczyny pod

„Desą”. Miała śliczną twarz o czystych rysach, siedziała wyprostowana z półprzymkniętymi oczyma. Przed nią leżało pudełko i kartka z napisem: „Jestem chora na AIDS, wyrzucono mnie z domu”. „To pewnie dziennikarka zbierająca materiał do artykułu na temat moralności naszego społeczeństwa” — przemknęła mi przez głowę myśl uwalniająca mnie od odpowiedzialności. W twarzy dziewczyny było jednak coś tak tragicznego, że zawróciłam i włożyłam do pudełka 5.000. „Jeśli to bief, poprawiam moralny wizerunek narodu” — rozgrzeszyłam się z naiwności.

Na rogu Szewskiej i Jagiellońskiej dobiegły mnie upiorne dźwięki jednostrunowego instrumentu, na którym ociemniały staruszek wygrywał swoje stałe melodie. Jakiś czas go nie było; teraz powrócił jako znak ciągłości mojej biografii. Dałam mu dwa tysiące, podświadomie dyskryminując tradycyjne kalectwo. Na plantach, niedaleko uniwersytetu dziewczynka w wieku licealnym grała na skrzypcach. Na leżącym u jej stóp futerale widniała kartka: „Zbieram na skrzypce”. Parę dni temu widziałam ją niedaleko dworca. Wyraźnie zmieniła miejsce na mniej dochodowe, ale też mniej ryzykowne pod względem obyczajowym. Poczulałam się odpowiedzialna za przyszłość kultury narodowej i zdecydowałam się sponsorować skrzypce.

Gdy wracałam do domu, na ulicy Wiśniej zastąpił mi drogę młody człowiek w okularach. „Czy zechciałaby pani wesprzeć działania na rzecz ekologii?” — spytał z ujmującym uśmiechem. „Jestem za, ale co konkretnie mam wspierać?” „Prowadzimy akcję uświadamiającą, żeby ludzie wiedzieli, jak chronić przyszłość globu” — odparł. „Zbyt abstrakcyjne; wolalabym poprzeć coś konkretniejszego”. „Wegetarianizm” — rzucił natychmiast. „Czy wie pani, jaki jest związek między wegetarianizmem a ekologią?” Tu mnie zaskoczył, nie wiedziałam. „Rzeźnie w Ameryce pochłaniają miliony metrów sześciennych wody pitnej” — wykrzyknął ekolog z tryumfem zaprawionym grozą. „Niech się pan nie martwi, w Polsce na pewno pochłaniają mniej; Amerykanie mają bzika na punkcie higieny. Ale zgadzam się, powinniśmy myśleć w kategoriach globalnych, nie zaściankowych”. Dialog ten zbliżył nas na tyle, że trudno było zostawić go z pustymi rękami. Za piątką dostałam broszurkę „Doskonałe pytania, doskonałe odpowiedzi” oraz adres jadłodajni wegetariańskiej „Govinda”. Z nalepki zrezygnowałam, ponieważ nie posiadam samochodu.

Zbliżając się do domu słyszałam coraz lepiej dźwięki muzyki. Rozpoznałam rosyjskie trio, które grało niemal pod moim oknem kilka wieczorów z rzędu. Graли pięknie, a teraz mogłam stwierdzić, że również sympatycznie wyglądali. Trzech młodych mężczyzn, z których jeden siał niepokojący urok przez dawnych narratorów prostolinijnie zwany zniewalającym. Jeśli byli zawodowymi muzykami, ich dochody kształtować się musiały w granicach 10 dolarów. Czy za cztery wieczorne koncerty mogłam im dać mniej niż dolara? Wymieniliśmy uśmiechy: mój — pomieszany z zażenowaniem, ich — z wyrozumiałością.

Tuż pod bramą nagabnął mnie młody człowiek z łańcuszkiem oplecionym wokół szyi. „Zbieram na jedzenie” — powiedział. Spotykaliśmy się już trzeci raz w tym tygodniu w różnych punktach miasta. Najwyraźniej nie miał pamięci wzrokowej. „Wiem, odparłam, wczoraj przyjechał pan z Bydgoszczy do kolegi, którego nie ma w domu”.

Oddalił się szybko uwalniając mnie tym samym od troski o swój los.

Siedząc przy biurku i słuchając tęsknej melodii wpadającej przez okno dokonałam obliczeń, z których wynikało jasno, że jeśli tak dalek pójdzie, z końcem miesiąca ktoś będzie musiał zacząć na mnie żebrać.



## HYDE PARK Czytelników

Spodobały nam się zarówno wiersze, cykl haiku, jak i biogram poetki, który wraz z wybranym dziś erotykiem drukujemy.

„Michalina Chomerska, ur. 26 listopada 1969 roku w Wodzisławiu Śląskim. Poetka, pisarka, reżyserka filmów fabularnych. Edukację konwencjonalną zakończyła zdaniem matury w I LO im. Powstańców Śląskich w Rybniku. W latach 1989–1993 przeważnie bezrobotna, na utrzymaniu rodziców, wykorzystywała czas na uczenie się języków obcych i poznawanie arcydzieli literatury światowej. Błyskotliwą karierę rozpoczęła debiutem w krakowskim czasopiśmie kulturalnym „Dekada Literacka” w 1993 roku...”

Chińczycy mówią:  
jeśli chcesz być wytrwałym, stań się górą

więc stałam się górą miłości

to dla ciebie te łąki wschodzące  
i ten wielki bieg radości  
lagodnym zбочem  
aż na szczyt

noc pełna znaczeń i gwiazd  
jest niczym dla góry —

rozhuśtały się dzwony śmiechu

8.07.1993.

Tadeusz Peiper jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych naszych poetów XX wieku. A jednak jego twórczość wciąż nie jest do końca poznana.

Niedawno pewna stara krakowianka znalazła w piwnicy wśród stosu gazet i papierzyśk kilka numerów miesięcznika „Hydrant”. Jest to wielki rarytas. Tylko nielicznym prasoznawcom znany jest ów tytuł, a żadna z bibliotek nie posiada jego egzemplarzy. Bo też był rzadkością. Ukazywał się nieregularnie i w bardzo małym nakładzie. Założył „Hydrant” Tadeusz Paiper zaraz po powrocie do kraju z Hiszpanii w 1921 roku — i wydał zaledwie dwa numery. Potem zajął się wydawaniem „Zwrotnicy”, ale kiedy po kilku latach jej żywot skończył się,

poeta powrócił do zapomnianego „Hydrantu”. W 1928 ukazał się tylko jeden numer, w następnym dwa — i to wszystko. Kolejne były wprawdzie przygotowywane, ale do ich wydania nie doszło z braku funduszy (pisał o tym z gorącością w artykule *Dyktat słowa*). Tak więc wyszło tylko pięć numerów „Hydrantu”, w którym Peiper oczywiście drukował swoje utwory. Ciekawe, że nie włączył ich do żadnego ze swych zbiorów. Wobec zupełnego braku zachowanych numerów miesięcznika, wiersze w nim zamieszczone uległy całkowitemu zapomnieniu. I trzeba było szczęśliwego trafu, żeby znów zaczęły żyć, a to dzięki skrzętności starszej pani, niechętniej pozbywaniu się czegośkolwiek. Jakże cenna to cecha, której literatura zawdzięcza niejedną swoją klejnot.

## WITOLD TURDZA ODKRYWA NIEZNANE ARCYDZIELA

*Tadeusz Peiper*

### Między

Między latarniami w welonach  
o ramionach w mazi Między kominami  
które sprzęga ciemność Między  
gąsienicami rzygającymi na puste zewłoki  
Między piskami z których co trzeci wyje,  
rozplaszczony pomiot mysi,  
Między blaskiem, który poczawszy się zwierciadłem, rzeszą zgwał

Między ustami na szybie, w której  
drzemie park  
Między gestami o smaku owoców  
spojrzeniem owiniętymi  
wikłającymi się na kopule dna które lśni,  
= owoce w kryształach  
Między ciosami które same powalają na  
nosze  
i poszarpane drganiem, przeżłabiają  
tarczę żeber  
Między podkrążonymi oczami zmierzchu  
Między Tak.

W przedmowie do *Wielkiego Ptaka* znany krytyk zapewnia, iż mamy do czynienia z „powieścią zwycięską, która z powodzeniem ubiegać by się mogła o laur najwyższy”. Nie wiem, co prawda, czy zawsze ów „najwyższy laur” przypada dziełom najznamienitszym i najbardziej zasługującym, ale rozważenie tej kwestii nie jest w tej chwili przedmiotem zainteresowania. W każdym razie intencją autora „Wstępu” było wyrażenie opinii jak najpochlebniejszej. A że równocześnie w pierwszym zdaniu krytyk przyznaje się do przyjaźni z autorem, to nie dziwnego, że do pochwalnych jego peanów odniosłem się z pewnym sceptycyzmem. Duża objętość książki też, szczerze mówiąc, nie działa zachęcająco. Sama jednak książka sprawia miłą niespodziankę.

O czym jest *Wielki Ptak*? Powieść, której akcja rozgrywa się w ciągu czterech tysięcy lat i obejmuje zasięgiem zdarzeń bez mała cały świat, nie jest jednak powieścią historyczną, mimo że przed oczyma czytelnika przesuwają się, najczęściej dane we wspomnieniu bohatera, obrazy historycznych wydarzeń. Nie jest to również powieść o mechanizmach działania historii ani o jej okrucieństwie, aczkolwiek i w takiej perspektywie dałaby się ona odczytać. Cała, imponująca zresztą, panorama historyczna jest tu pretekstem dla rozważań o charakterze filozoficzno-egzystencjalnym, a nakreślenie tak szerokiej perspektywy ma na celu ukazanie ponadczasowości pytań stawianych przez człowieka Losowi, Bogu, światu i sobie. Mimo zmienności kultur, epok, warunków kondycja ludzka pozostaje w swej istocie taka sama, zdaje się dowodzić fabuła powieści. *Wielkiego Ptaka* można by zatem odczytać jako sfabularyzowany dyskurs filozoficzny, którego celem jest jednak nie tyle całościowa synteza sytuacji człowieka w kosmosie, ile wydobycie uniwersalnych, niezależnych od jakichkolwiek uwarunkowań historyczno-kulturowych, pytań nurtujących jego sumienie i umysł, pytań świadczących zarazem o człowieczeństwie ludzkiej istoty. Tym, co odróżnia kruche i podległe przemijaniu istnienie człowieka od wszystkich innych bytów biologicznych, jest właśnie świadomość śmiertelności. Nie jest to, w gruncie rzeczy, szczegól-

nie odkrywcze stwierdzenie, jednak pokazanie każdorazowo innego przeżywania tej wspólnej dla wszystkich prawdy przez jednostkę, ratuje książkę przed banalnością.

Jeżeli mówię o sfabularyzowanym dyskursie czy też — może lepiej — o sfabularyzowanym eseju, to głównie ze względu na brak ciągłości akcji i rezygnację z przyczynowo-skutkowej prezentacji zdarzeń. Odnosi się to do książki jako całości, w obrębie poszczególnych części natomiast została zachowana zasada logiki przyczynowo-skutkowej, dzięki czemu każda z nich stanowi integralne i autonomiczne opowiadanie. Brak ciągłości fabularnej zostaje w *Wielkim Ptaku* zastąpiony ciągłością refleksji i jednorodnością przesłania, budowanego z mozaikowych fragmentów. Dla konstrukcji powieści ważne okazują się motywy i postaci łączące, które wielokrotnie pojawiają się w każdej z części. Jednym z takich rekwizytów spajających jest tajemniczy amulet, przekazywany z rąk do rąk, przez pokolenia aż do współczesności. Postaciami spinającymi różnorodne fabularnie wątki poszczególnych części są Hagar i Izmael. Ich dzieje przewijają się przez całą książkę, wspomniane przez bohaterów snujących refleksje nad rolą przypadku i jednostkowej decyzji w historii ludzkości. Postaci Hagar i Izmaela służą też autorowi do ukazania korzeni podziału na świat żydowski i muzułmański, który to podział stanowi jedno z centralnych zagadnień powieści. Krasicki próbuje pokazać absurdalność postaw fanatycznych, rodzących nie tylko wzajemne uprzedzenia, ale przynoszących rozlew krwi i śmierć zaciętym obrońcom ideałów, niewiele w dodatku różniących się między sobą i zawsze, o paradoksy, głoszących, jako podstawę swego orędzia miłość i pokój.

We wszystkich częściach powieści powracają także, na zasadzie swoistego paralelizmu, identyczne bądź bliźniaczo do siebie podobne, sceny. Tak np. pojawi się obraz chorego Chrystusa, przeżywanego antycypowaną Mękę i pielęgnowanego troskliwie przez dwie kobiety. Ten sam epizod ze zmienionymi jedynie bohaterami powtórzy się w kolejnym rozdziale. Tym razem chorym będzie św. Franciszek, otoczony troskliwością św. Klary i młodziczki mniszki.

## PRETEKSTY

### Kto się boi Céline'a?

Był pisarzem przeklętym. Jego życie było dwuznaczne i obfitowało w paradoksy. Z jednej strony lekarz biednych, z drugiej osobowość uwikłana w moralną matnię; Louis-Ferdinand Céline — ostatni wielki tragik naszego stulecia.

Wznowiona przez PIW *Śmierć na kredyt* powraca w czasie dla siebie najodpowiedniejszym. Powraca, by budzić niepokój i wstrząsać zastygłym w pozornym ładzie mieszkańcem Europy Środkowej. Czy potrzebnie? Nie wiem. Może niepokój, jaki daje zakładanie pierwszego w życiu prywatnego biznesu, powinien być jedynym, jakim przeciętny Polak jest opanowany. Wychodzenie jednak z nędzy materialnej nie pomoże wydobyc się z całego morza biedy innego rodzaju, która tym bardziej przeraża, że nie można się z niej uwolnić nawet przy największej zaradności.

*Śmierć na kredyt* jest powieścią o dorastaniu kilkunastoletniego chłopca, przyglądającego się światu pełnemu nienawiści i okrucieństwa. Młody człowiek uczy się od dorosłych tego wszystkiego, czego się boi: zadawania bólu, strachu, niepewności. Dojrzwając w atmosferze pedagogicznej tyranii i obojętności ojca, staje się potworem dla samego siebie; w kontaktach z rówieśnikami jest ostrożny, ale jest to ostrożność destrukcyjna, nie pozwalająca na zbliżenie się drugiego człowieka, na bliższe, uczuciowe związanie z kimkolwiek. Bohater zadając ból bierze odwet na równie co on niewinnych; oglądanie cierpienia, będącego jego dziełem, działa na niego kojąco. Jest sadystrą, ale sadyzm daje

szansę na wyjście cało z życia nie znającego kompromisu. Być — znaczy nienawidzić — przemyka w tle powieści strawestowana maksyma Mauniera. Rzeczywistość przedstawiona skłania zaś do konstatacji, iż wszelka litość od początku świata musiała być tylko pomyłką złośliwego demiurga.

Dzieło Céline'a nie sugeruje, że w ludziach mogą istnieć odczucia pozytywne. Ludzie w większości są brzydki (zarówno fizycznie jak wewnętrznie), nie można oczekiwać od nich jakkolwiek pojmowanego dobra. Życie jest wegetacją w nędzy i cierpieniu; prawdziwym wyzwoleniem może być tylko nicość i śmierć.

*Śmierć na kredyt* dotyka skrajności, w jakiej może nas umieścić przypadek. Nieszczęście głównego bohatera wynika mianowicie już z tego, że urodził się w takiej a nie innej klasie społecznej, wzrastał w określonym środowisku. Na to wszystko nie mógł mieć wpływu; te zaś czynniki zdeterminowały jego młodość i wyrwały piętno na jego psychice. Dalsze doświadczenia miały tylko potwierdzać wszechobecność egoizmu, hipokryzji, pogardy. Taki jest cały świat, nie ma co do tego złudzeń. Pokazuje to już *Podróż do kresu nocy*, ale *Śmierć na kredyt* to niejako rodowód takich postaw.

(Powieść Céline'a budzi odrazę przez tragizm, w którym brak patosu i nadziei. Rzeczywistość w niej przedstawiona jest obłąkana, tak jak obłąkani są ludzie, którzy tworzą świat. Zwierzęca samotność bohaterów dzieła nie pozwala wierzyć, że ludzkość jest

# KSIĄŻKI

## Apokryf, hagiografia parabola?

Jerzy Krasicki  
*Wielki Ptak*

CD International Editors, Kraków 1992.

Trzy pierwsze rozdziały *Wielkiego Ptaka* traktować można zarazem jako współczesny apokryf. Rozdział przedostatni każe zaś myśleć o nowoczesnej hagiografii. Apokryficzny charakter powieści uzyskuje Krasicki poprzez wprowadzenie w wydarzenia znane z Biblii epizodów i postaci będących wytworami jego własnej wyobraźni. Trzeba przy tym dodać, iż dobrej znajomości Pisma św. towarzyszy doskonała kompetencja kulturowa, co daje przekonujące i płodne poznawcze efekty.

Najważniejszy jednakże wydaje mi się paraboliczny wymiar książki Jerzego Krasickiego, konstytuujący się ponad jej warstwę historyczną, filozoficzną i apokryficzno-hagiograficzną. Każda z nich zresztą inaczej zaznacza swą obecność w książce, składając się na jej bogactwo treściowe i otwierając rozmaite — choć, jak myślę, cząstkowe — perspektywy interpretacyjne. Dopiero, gdy odczytać *Wielkiego Ptaka* jako parabolę, znajduje się wytłumaczenie dla atroficznej, porwanej fabuły, której czas i prze-

strzeń rozszerzają się niemal do nieskończoności, a bohater wcielający się w różne postaci jest w gruncie rzeczy Każdym. Powieść jest zatem właściwie przypowieścią, a tytułowy *Wielki Ptak* metaforą tego, co absolutne i metafizyczne. Gdyby zresztą nie ów *Wielki Ptak*, pozwalający ostatecznie ocalić bohaterowi wiarę w Sens, przesłanie książki byłoby głęboko pesymistyczne i sprowadzałoby się do przekonania o groteskowej absurdalności świata i pojedynczego człowieka. *Wielki Ptak* określa też kształt tęsknoty bohatera za tym, co wieczne i wyznacza religijny horyzont w jego odczuwaniu i nazywaniu świata. Chodzi tu nie o jakąś konkretną religię, ale o pewien sens cechujący bohatera i umożliwiający mu wiarę w Opatrzność, kierującą dziejami.

W sumie — sądzę — warto przeczytać tę zniechęcająco dziś grubą powieść, której głębia i rozległość wpisanego w nią doświadczenia rekompensują w pełni pewną tradycyjalność narracji.

Zofia Zarębianka

w jakiś szczególny sposób wyróżniona wśród innych istot żywych. To zresztą najczęściej wysuwany zarzut przeciwko francuskiemu pisarzowi: chroniczna nienawiść do wszystkich ludzi, skrajnie antyhumanitarne podejście do świata.

Posunięcia skrajne osądzać jednak najłatwiej. Można biel kojarzyć z anielską czystością, czerni upodabniać do szatańskiego zła, i sprawa wydaje się załatwiona. Ale tylko z pozoru. Wszelkie posunięcia ekstremalne są bowiem naznaczone niebawym cierpieniem wynikającym z niedopuszczenia do świadomości faktu istnienia wielu odcieni ją modelujących. A postawa taka nie rodzi się sama z siebie. Skłonności ekstremistyczne pojawiają się najczęściej „pourazowo”, w wyniku doświadczenia mającego wpływ na resztę życia. Ekstremizm jest wszak swego rodzaju eskapizmem: skoro nic się nie da zmienić, niech przynajmniej będzie można zrozumieć dlaczego...

Céline to jeden z najtragiczniejszych lekarzy-filozofów XX stulecia, próbujący uzdrowić świat przez aplikowanie mu sporych dawek własnych trucizn. Ślady podobnego okrucieństwa widać już w *Lochach Watykańu* Gide'a, a w jeszcze większym stopniu u Remarque'a. To ostatecznie ta sama „stracona” generacja, ludzi, którym dane było poznać świat w całej jego wojennej bezwzględności jako nie oszczędzającą nikogo, miazdząca siłą. Czy więc Céline kłamie? Czy jego antyhumanitarna nienawiść jest nieuzasadniona? Bynajmniej. Uświadamia nam bowiem, że znacznie częściej jesteśmy beznadziejnie bezradni, niż zdolni do działania. Że łatwiej się poddajemy, niż protestujemy. Oczywiście, że to

Saint-Exupéry wydaje się tą wielką moralną ostoją ludzkości, a nie Céline. I znacznie pewniej jest oglądać pochod bohaterów niż tułających się po świecie lumpów pożeranych przez głód i nienawiść. Ale nadzieja, jaką daje autor

*Nocnego lotu* jest jeszcze jedną nieprawdopodobną mrzonką; bohaterowie już dawno zginęli w okopach rozerwani przez granaty i zakłóci bagnietami. Ci, którzy ocalili, nie potrafili się ludzi, że w jakiegokolwiek masakrze ukryty jest sens.

Współczesny intelektualista nie może wyzwać się Célinowskiego sceptycyzmu. Zdaje sobie sprawę, że jego nawoływanie ludzkości do opamiętania to tylko słowa na papierze, które nie potrafią usprawiedliwić jego faktycznej bezsilności. Intelektualista staje bezradny przed migocącym ekranem telewizora i nie potrafi zachować się we właściwy sposób, kiedy ogląda migawki z rzezi na Bałkanach. Co powinien zrobić? Napisać petycję? Wystosować apel? Oświadczyć? Przemówić? Zaprotestować? Wszystko jest zbyt proste i zbyt mało skuteczne zarazem. Poza tym świat zdążył przyzwyczaić się do zniszczenia; w ciągu setek lat historii nowożytnej zbiorowe agonie całych narodów stały się częścią codziennego porządku. „Nikt właściwie tego nie chce, a nagle zjawia się to. Myśmy wojny nie chcieli, inni twierdzą to samo, a mimo to połowa świata ugrzęzła w tym na dobre” — mówi jeden z bohaterów słynnej powieści Remarque'a. Dlatego, kto uważa Céline'a za piewę zła, ten nadal żyje złudzeniami. Pech chce, że ci, o których pisze, to my sami w nieco zmienionych scenografiach...

Jeśli kto czytając Céline'a odczuwa strach, znaczy to, że nie został jeszcze do końca strawiony obojętnością. Albowiem jego powieści nie mają prawa być lekturą optymistyczną i przyjemną. Wśród ambitnych tomów żyjących w zgodzie z filozoficznymi sentencjami musi znaleźć się książka burząca jedność myśli, uparcie przypominająca, że istnieje dno, którego co pewien czas dotykamy. Dlatego drżymy i przewracamy stronicę *Śmierci na kredyt!* Może to jedyne panaceum na epidemię świętego spokoju...

Andrzej Cimała

Natalia de Barbaro

## O rybie bez roweru

Każdy z nas żyje w świecie, który w pewnym stopniu przynajmniej sam sobie „wymyśla”. Roszczenie sobie monopolu na właściwe postrzeganie rzeczywistości jest niepoważne. Jeśli kobieta, która w swoim życiu nie zrobiła nic poza wyjściem za mąż i urodzeniem dziecka, jest niewolnikiem swojego obrazu rzeczywistości, swoich oczekiwań wobec świata i siebie samej, niewolnikiem jest też feministka, która potrzebuje mężczyzny jak ryba roweru. Tej pierwszej nie mieści się w głowie marnowanie czasu na studia i karierę, tej drugiej — marnowanie czasu na gotowanie mężowi obiadu. Która lepsza?

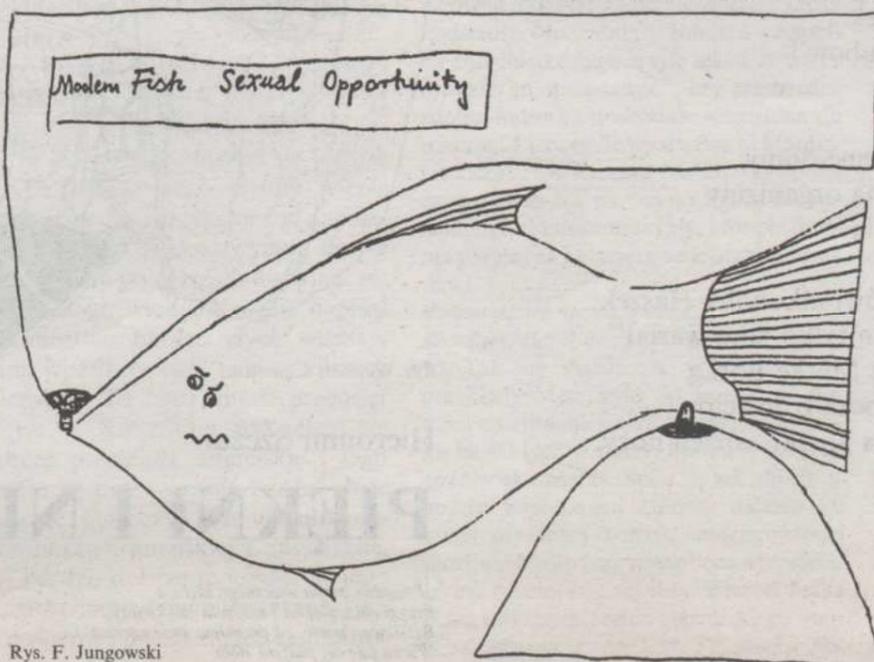
Przypatrzmy się postaci, która nie pasuje do żadnego z tych portretów. To bohaterka kilku powieści Eriki Jong, według powierzchownego, acz dość obiegowego poglądu, feministka czystej wody. Sama przedstawia się jako: „Isadora Wing, mieszkająca w Nowym Yorku, Żydówka, pochodząca z bardzo neurotycznej, raczej bogatej rodziny, jej drugim mężem jest psychiatra, bezdzietna, ma dwadzieścia dziewięć lat, właśnie opublikowała tomik podobno erotycznych wierszy, co stało się powodem dziwnych męskich telefonów uskutecznianych w środku nocy”. Isadora jest absolutnie wolna od uprzedzeń, pisze, wyklada, pije whisky, podróżuje, uwodzi tłumy mężczyzn. Gdyby tę książkę pisała autorka powiedzenia o rybie i rowerze, Isadora w jej wersji byłaby szczęśliwa, być może nieco uciskana (jak my wszystkie), po paru wygranych sprawach w sądzie o seksualny harassment, odczytałyby jednak mężczyźni zbytnej pufalości (w której zresztą w książkach Eriki Jong sama uprzedzała absztyfikantów). Ale Erica Jong — jak i jej bohaterka — jest pisarką nieideologiczną, dlatego Isadora jest inna — i wydaje się prawdziwsza od modelu w wersji radykalnie feministycznej. „Byłyśmy z Pią «wolnymi kobietami» (wyrażenie, które ma sens tylko w cudzoziemcu) — pisze o sobie Isadora — Pia była malarką. Ja byłam pisarką. Nasze życie nie ograniczało się do mężczyzn — miałyśmy pracę, przyjaciół, podróżowałyśmy. Dlaczego w takim razie nasze życie wydawało się zamykać w smutnych piosenkach o miłości? (...) I gdzie były kobiety naprawdę wolne, żyjące pełnią życia z mężczyzną czy bez niego? Z nadzieją na ratunek zwracaliśmy się ku naszym niepewnym bohaterkom — Simone de Beauvoir na każdym kroku zastanawia się, co by o tym powiedział Sartre. Lillian Hellman chce być mężczyzną w stopniu nie mniejszym niż Dashiell Hammett, żeby mógł pokochać ją tak, jak kocha siebie samego. (...) I cała reszta — kobiety pisarki, malarki — w większości nieśmiałe, wycofujące się, schizoidalne. Pokorne w życiu, odważne tylko w sztuce. Emily Dickinson, siostry Bronte, Virginia Woolf, Carson McCullers (...) Co za towarzystwo! Szorstkie, samobójcze, samotne”. Isadora żyje w lepszych czasach, kiedy jej praca i kariera nie jest skandalem, wręcz przeciwnie, wzbudza podziw obu płci. Ale wybór takiego życia nie uwalnia jej od niepokoju i od tego, co radykalnie feministki nazywałyby złe pojęta kobiecością. Skazana jest na ambiwalencję, której mogłaby zaprzeczyć tylko zaprzeczając temu, co znajduje w sobie — „Kiedykolwiek byłam w domu, chciałam się stamtąd wydostać, a kiedy mi się to udawało — zaraz chciałam tam wracać. Jak to nazwać? Dylematem egzystencjalnym? Opresją kobiet? Kiedy tylko dotykałam ziemi, chciałam się nad nią unieść. (...) Dlaczego tak wiele artystek, które zrezygnowały z posiadania dzieci, nie potrafi potem namalować nic poza matkami i dziećmi? Utaletowana kobieta zawsze będzie w pułapce. Nigdy nie ucieknie od swojej kobiecości.”

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Rilke, O'Hara, Ashbery, Mahon, Celan — można długo cytować. Niepokój, nuda, alkohol, stracone kobiety, rytm miasta — to można wyczytać w tekstach, na tym opiera się twórczość „roczników sześćdziesiątych”.

„Być świadomym Krawędzi rzeczy” — jak mówi Ashbery. I jesteśmy. Poprzez samotność. „Gardłowa melancholia z taśmy, papieros, ciepły drink — ja — próbujemy nie być sami” (Robert Adamczak), „Srebrne punkciki niepokoju w oczach. / Strach przed samotnością. / Na tym zostałem wychowany. / Ból i strach mają działanie ochronne. Do pewnego stopnia” (Wojciech Szumowski), „Radość i strach, jak dziedzictwo, / Są przy nas” (Krzysztof Koehler), „rano poczuje się tacy samotni i wyjdziemy w hulaśliwie ulice / przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu straconego czasu i ważnego biletu” (Jacek Podsiadło).

Isadora niczego więc nie może wybrać do końca, bo każdy wybór — czy to domowego zacisza przy boku męża, czy to „wyzwolenia się” od tego, co tradycyjnie zwykło się uznawać za kobiece — byłoby fałszywe, pozbawiając ją części jej samej. Zaprzeczenie swojej sile jest wyrazem słabości, ale zaprzeczenie temu, co radykalne feministki nazwałyby słabością — nie jest wyrazem siły, tylko lęku. To, co kobiece, przez długi czas uznawane było za słabe, pasywne (Freud!). Jeśli by w to wierzyć, pierwszym odruchem jest wyrzec się tego i do podobnego wyrzeczenia namówić pozostałe kobiety. A to już niejako wtórna dyskryminacja — w imię walki o wolność kobiet można zdyskryminować jej kobiecość. Można powiedzieć, że jej nie ma, a wszystko, co kobietę od mężczyzny różni (poza oczywistymi odmiennościami natury anatomicznej, z których wytepieniem mogą być problemy), to jakieś kulturowe, mizogiczne, chciałoby się dopowiedzieć — burżuazyjne, naleciałości...



Rys. F. Jungowski

Tego, co sufrażystki, emancypantki i feministki zrobiły i robią nie da się przecenić (choć bywają i takie, które miewają do tego tendencje). Należy im się wdzięczność, którą utrudnia prawdopodobnie brak wyobraźni — bo jak tu sobie na przykład wyobrazić, że kobietom nie wolno było studiować! Równocześnie jednak chciałabym wiedzieć, że moja wolność wyboru — podstawowa wartość, o którą walczymy — będzie wolnością także wyboru gotowania siedmiuset kotletów tygodniowo i urodzenia trzynastorga dzieci. I gdybym tak wybrała, że nie zabiorą mi prawa do nazywania tego wyborem, nazywając mnie niewolnicą jakiegoś mizogyna i siebie samej tylko dlatego, że ten wybór będzie się różnił od tego, co wybiorą dla siebie. Mam nadzieję, że Isadora Wing — kompletnie pogubiona w tych dziwnych czasach, feministka, a jednak nie do końca szczęśliwa, będzie się mogła w dowolnych dawkach oddawać swojej ambiwalencji na łamach kolejnych książek Eriki Jong — i nikt jej nie wytknie ideologicznych nieprawidłowości w biografii — na przykład, że urodziła dziecko i ciągle się zakochuje w niewartych miłości mężczyznach.

Natalia de Barbaro

Cytaty pochodzą z książek Eriki Jong „Lęk przed lataniem” i „How to save your own life”.

Tych kilku autorów mówi o strachu i samotności. To właśnie jedna z tych rzeczy, wokół których kręci się nasze życie. Jak napisał M. Sendek „powtórz to: jestem, jesteśmy, opowiadamy nasze czasowe życie”. W tym zdaniu słyhać to, co powtarza się u większości moich rówieśników i co można potraktować jako cechy — podkreślony mocno zaimek „ja” oraz „stan” tymczasowości.

Te „sytuacje psychiczne” podobnie ujmuje Marcin Baran „Z ich ciał układam miłość, lęk i słowa. / Zestawiam życie, biorę nic.” W tym fragmencie można wyróżnić inne cechy „roczników sześćdziesiątych” — dystans do otoczenia (parodia Konrada\* z Mont Blanc?) i skłonność do układania wierszy, sytuacji (piękna analogia z dziecinnymi puzzlami i może trochę sentymentów do parnasistowskiego hasła „sztuka dla sztuki”).

[cdn.]

\* — Kordiana zdaje się [przypr. red.]

Nathaniel McMuchaman

## Szczupak na łańcuchu

(...) „W Europie patriarchalizm był zawsze wolny od perwersji: ateńskim mędrcom nie podsuwano pytań, jakie dziś księżom lubią zadawać antyklerykalowie lub działaczki, których kompetencja kulturalna dojrzeła w symbolicznym rytmie dumnego pochodu falangi dość dokładnie ubranych dziewcząt, dzierżących w dłoniach sztandar o barwie zarumienionego policzka kleryka”, tak w tygodniku *The Tablet* pisze Fiona Smith, przyłączając się do kameralnego chóru obecnych w prasie katolickiej kobiet, które władze kościelne chętnie przyjmowały do pracy w drugiej połowie lat 60. Dziś są to kobiety dojrzałe, niezależne, a łączy je wola zachowania status quo: współcześnie oznacza to wyzwanie do walki o równy dystans od spolaryzowanych

czynnych przejawów należy np. rytualne obmywanie członka wywarem z czosnku w trakcie „ceremonii weselnych”), a z drugiej strony większy udział elementów anatomicznych płci żeńskiej w formach symbolicznych (do dzisiaj na Litwie pioruny zwiastujące długo oczekiwane deszcze, nazywa się „cycami”, w których mieszka duch przynoszący szczęście domostwu). (...) Znacznie mniejsza niż w dorzeczu Renu i Rodanu była obecność zoomorfizmu w prymitywnych systemach znaczenia (Prasłowian). (...) Najciekawsze przejawy wyobraźni słowiańskiej, jak pokazaliśmy, wcale nie tak sielankowej jak to wielokrotnie idealizowano (szczególnie w niemieckiej literaturze) to upiory i wilkołaki. (...)

Ciekawą konotacją są alegoryczne ususy szczupaka, *Exos lucius*, ryby z rzędu śledziokształtnych, o wydłużonym ciele, dużej głowie, spłaszczonym pysku, z ostrymi, skierowanymi ku tyłowi zębami. Ma zmienne ubarwienie, zależne od lokalnego środowiska. Jest drapieżny, czatuje na ryby, płazy, a także drobne ssaki i ptaki. Szczupak jest w starsłowiańskiej mitologii swoistym depozytariuszem wyobrażenia męskiej domeny, a jednocześnie schronieniem wzorca męskich cech, u niektórych plemion nawet przedsiódkiem duszy. Jednocześnie — można to stwierdzić z pełną odpowiedzialnością — jest dla mężczyzny najbardziej pożądaną zdobyczą, a gdzieś tam połów ma wymiar rytuału (...) złowioną rybę pozostawia w miejscach ofiarnych i liczy okres rozkładu. Jednocześnie kobieta nie może oprawiać tej ryby; w szczególnych przypadkach, także nie może jej spożywać. (...) Istnieje jednak istotna interpretacyjna trudność: nazwy słowiańskie są głęboko zindywidualizowane; poziomu integracji i reintegracji nazewnictwa, jaki kulturom lokalnym zachodniej części kontynentu nadał rzymski imperializm, do zjawisk pochodzących między Łabą i Dnieprem porównać nie sposób. Stąd m.in. hipoteza o pierwotnie jakby zaszyfrowanym „kryjącym” statusie nazw odtwarzanych z nie małym trudem przez językoznawców. (...)

[W] polskiej populacji największy dymorfizm płciowy wykazywany jest w obwodzie szyi, obwodzie klatki piersiowej, szerokości barkowej długości ręki i wysokości ciała. (...) W barwie oczu u dzieci dymorficznych różnicowań nie ma, z wiekiem odsetek barwy niebieskiej wzrasta w grupie męskiej. (...) Po *inteligentnej* modernizacji końca lat 50. i początku 60. dla polskich mężczyzn warstwa znaczeniowa zachowań seksualnych uległa istotnej erozji. (...) Paradoksalnie typowy dylemat w pełni zmodernizowanego mężczyzny, pozostającego (na Zachodzie) w punkcie, gdzie na kontinuum między *machismo* a *zespołem wewnętrznego braku bezpieczeństwa* i afiliacji w roli męskiej, u Polaków rozstrzygany być musiał na poziomie pojedynczej biografii. Brak (nie tylko zresztą) tego segmentu opinii publicznej powinien być w pierwszej kolejności brany pod uwagę. (...) Stosunkowo niewiele badano wówczas [w Polsce i Czechosłowacji] wpływ wzoru zachowań w rodzinie na symboliczną socjalizację płci u dzieci. Psychoanaliza była wówczas dopuszczona przez lewicowe środowiska uniwersyteckie jedynie w marksistowskim, historyzującym wydaniu. (...) Delikatność męskiej tożsamości nie jest nadal kojarzona w tych krajach z jasnym podziałem ról seksualnych w rodzinie, lecz z abstrakcjami procesów na wyższych poziomach socjalizacji. (...)

(fragmenty tłumaczenia książki pt. *The Chained Pike. A Postponed Approach to the European Male*, North Carolina University Press, Chapel Hill 1992, ss. 34-35; 68-70; 113-115.)